7 DNI

CENA 50 GR

nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



gotówką 10.000 zł. nagrody

Pismo nasze rozchodzi się coraz dalej... Oto dostało się do wytwórni Paramountu w Ameryce, gdzie słynny artysta filmowy Charles Roggers z ciekawością ogląda numer, na którego okładce figuruje jego podobizna.

Co słychać na świecie?

Z grona locarneńskich pacyfistów ubył ten, który po przegranej przez Hindenburgów i Ludendorfów wojnie doprowadził Niemcy do zwycięstwa pokoju. Śmierć Gustawa Stresemanna, wieloletniego ministra spraw zagranicznych Rzeszy, okryła żałobą Niemcy. Zabrakło róż białych, lilji i cyprysów na mary żałobne tego, któremu niedawno jeszcze znakomity odłam społeczeństwa niemieckiego rzucał kamienie pod nogi. Tak śmierć uwydatnia straty. A Niemcy istotnie przez śmierć Stresemanna poniosły stratę.

Stresemann objął kierownictwo polityki zagranicznej w momencie najcięższym dla Niemiec, skąd droga wiodła zdawało się nieuchronnie do katastrofy. Wewnątrz kraju naprężenie, wrzenie komunistów i putch'e monarchistów, dążenia separatystyczne Bawarji i prowincji wschodniej, upadek ducha, kompletna dewaluacja pieniądza, obliczanego na biljony, nazewnątrz zupełna izolacja polityczna, atmosfera nieufności, okupacja Nadrenji, olbrzymie ciężary reparacyjne. Z nadludzkim wysiłkiem, niesłychaną cierpliwością i wytrwałością począł Stresemann przeprowadzać swój program polityczny, jedyny racjonalny, jaki pragnęły postawić sobie zwyciężone Niemcy: porozumienia z państwami sojuszniczemi, urobienia opinji międzynarodowej, ulżenia ciężarom traktatów. Program ten udało się Stresemanowi zrealizować w pełniejszej niżby tego mógł przypuszczać mierze. Niemcy dopuszczone zostały do społeczności narodów, zasiadają w Radzie Ligi, związane są z mocarstwami zachodniemi punktem nietykalności granicy zachodniej, ze wszystkimi sąsiadami: szeregiem traktatów rozjemczych i pojednawczych. Ciężary reparacyjne uległy dwukrotnej, znakomitej redukcji: w 1924 w Londynie zgodnie z planem Dawes'a, w roku bieżącym w Hadze, zgodnie z planem Young'a. Porozumienie z państwami sojuszniczemi nie jest bynajmniej złudą ani niemożliwością, odnowienie więzów z finansjerą amerykańską jest faktem. Odbudowanie przemysłu, stabilizacja waluty jest rzeczywistością. A wszystko to jeśli nie jest dziełem wyłącznem Stresemanna, to w każdym razie pod wielkim jego wpływem i przy czynnym współudziale.

Przy całej swej genialności umysł Stresemanna był jednak obciążony dziedzictwem pojęć tych czasów, z których wyrósł. Stresemann nie umiał się unieść na wysokość zrozumienia, iż polska racja stanu jest rzeczywistością, z którą liczyć się bezwzględnie trzeba. Stresemann liczył się z istnieniem Polski, dążył — trzeba to przyznać — do łagodzenia i normalizowania stosunków, nie zrozumiał jednak, że trzeba uroszczenia Niemiec przykrawać do miary interesów i prac Państwa Polskiego, i dlatego nie zdołał doprowadzić do porozumienia polsko - niemieckiego nawet w szczupłym zakresie poprawnego współżycia sąsiedzkiego. Był jednak człowiekiem lojalnym wobec Polski — i to mu trzeba przyznać. Był wielkim Niemcem i zasłużonym synem swej ojczyzny, a te zalety Polska umie cenić u każdego.

Jeden z naszych sąsiadów miał okazję żałobną do rekolekcji narodowych i rzutu oka wstecz poza siebie, drugi — okazję radosną. Pobratymcza Czechosłowacja obchodziła 1000 lecie pierwszego państwa czeskiego,, a zarazem rocznicę śmierci jednego ze swych pierwszych książąt i bohaterów narodowych, którego pamięć podniosła do godności patrona państwa. Uroczystości ku czci Św. Wacława były zarazem symbolicznym aktem ostatecznego zwycięstwa słowiańskiego nad żywiołem niemieckim, z którym przez długie wieki trzeba było toczyć nieustanną walkę. Polska łączyła się duchem w tym trjumfalnym akcie z pobratymczym narodem, tem radośniej, że ostatnie czasy przyniosły wyraźnie zaznaczony zwrot Czechosłowacji ku porozumieniu i zbliżeniu z Polską.

Państwa słowiańskie krzepną i utrwalają swą egzystencję. W Jugosławji nastąpiły dawno oczekiwane i upragnione zmiany w podziale administracyjnym państwa. Ustrój centralistyczny,ześrodkowujący najdrobniejsze działy administracji wewnętrznej w stolicy, ustrój, który dotychczas był głównym powodem rozterek i rozdźwięków domowych między Serbami, Chorwatami i Słoweńcami, został zastąpiony szeroko pomyślanym ustrojem decentralistycznym. Państwo zostało podzielone na dziewięć wielkich jednostek, nazwanych banatami, z ministrami banackiemi: Lublaną, Zagrzebiem, Banialuką, Splitem, Sarajewem, Cetynją, Nowisadem, Niszem i Skopje; banowie nie będą zaliczeni do żadnej kategorji urzędniczej, i otrzymują szeroką władzę autonomiczną pod kontrolą i zgodnie z dyrektywami ministerstw. Dla zatarcia dawnych trójdzielnicowych wspomnień wymazano nazwę Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców i zastąpiono ją jednolitą nazwą Państwa Jugosłowiańskiego.

Sowiety nie mają szczęścia do swych reprezentacji zagranicznych. Głośnem echem w całym świecie odbił się skandal w ambasadzie sowieckiej w Paryżu, którego osnową była chęć zamordowania radcy ambasady Biesiedowskiego przez przybyłego z Rosji Sowieckiej komisarza czrezwyczajki do spraw wyjątkowych. Biesiedowski uciekł się pod opiekę policji francuskiej, został zawieszony w następstwie przez rząd moskiewski w swych czynnościach, zatrzasnął za sobą drzwi do raju sowieckiego, ale życie ocalił. Można teraz oczekiwać ciekawych rewelacji byłego dyplomaty sowieckiego.

Dr. J. G.



Ostatnia przechadzka Stresemanna przed jego nagłym zgonem.



Najmłodsza córka królowej rumuńskiej Marji, księżniczka Ileana, narzeczona króla Borysa.



Król bułgarski Borys, szczęśliwy narzeczony rumuńskiej księżniczki Ileany.



W ubiegłym tygodniu zmarł jeden z największych współczesnych rzeźbiarzy francuskich Antoni Bourdelle, twórca pomnika A. Mickiewicza w Paryżu. Fotografja przedstawia sędziwego rzeźbiarza na łożu śmierci.



Przed kilku dniami przybył do Warszawy komandor M. A. Heves, nowy ang. attaché marynarki.



Radca poselstwa sowieckiego w Paryżu Biesiedowski, umknął przed kontrolą Czeka.



Henry Crepin, który po zabiciu kochanki usiłował pozbawić się życia, wystrzałem z dubeltówki pod brodę, okrutnie zmasakrował sobie twarz — lecz wyżył.



W ostatnich czasach rozszerzono port londyński kosztem 5 milj. f. szterl. co umożliwi największym okrętom wejście do przystani.



Sir William Waterlow został mianowany lord majorem Londynu. Ceremonjał odbył się ze zwykłą pompą.



Uroczystość założenia kamienia węgielnego pod budowę bazyliki św. Teresy w Lisieux zgromadził tłumy wiernych z całej Francji. Celebrantem był ks. kard. Charost.



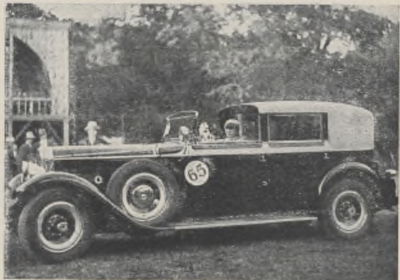
Resie Grenel, czerwonoskóra piękność, wyróżniona na konkursie w Kansas.



Konkurent Alain Gerbault, który postanowił odbyć podróż morską w beczce. Morski Dyogenes przy toalecie.



Z okazji tygodnia L. O. P. P. odbył się szereg imprez propagandowych, jak radjowe słuchowiska (J. Sosnkowskiego), pochody uliczne i t. p. Najciekawszą z nich była obrona Warszawy, której epizody rozgrywały się w różnych punktach miasta.



Doroczny konkurs piękności samochodów zgromadził na terenie konkursów hipicznych w Warszawie sto kilkanaście wozów. Wyróżniający się niezwykłą pięknością linji Packard, prowadzony przez p. J. Patową, zdobył, rzecz prosta, 1-ą nagrodę.

Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie

U kolebki najstarszych naszych wszechnic leży wola wielkich monarchów Polski. Podwaliny pod uniwersytet jagielloński w Krakowie kładł król, „co zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną" — Kazimierz Wielki; dziedzictwo piastowe rozwinęli i udostępnili Jadwiga z Jagiełłą oraz kolejni władcy z rodu Jagiellonów. Uniwersytet wileński wiąże się tradycjami z największym elektem następnej epoki, królem, który bacznie patrzył na wschód, do oświaty nawoływał, a młodzieńcom zwykł był mawiać: *„Disce, puer, latine — ego te faciam „mości panie"!"* Trzecia siostrzyca tych dwu wszechnic, które promieniowały na obie stolice potężnego państwa — akademja zamojska — dziś już nie istnieje. I ona wszakże dźwignięta została za skinieniem męża, który królom doradzał, udzielnym władcom potęgą był równy, mocą zaś rozumu współczesnych przewyższał — kanclerza Jana Zamoyskiego. Czy można bez uczucia szlachetnej dumy spoglądać na ten tryptyk wiedzy i kultury, który znany był światu, gdy wschód Europy tonął jeszcze w barbarji? — To też wskrzeszona Polska poszła po linji wskazań przeszłości i troskę o oświecenie publiczne uczyniła pierwszym ze swych zabiegów. Pięć uniwersytetów — w tej liczbie odrodzony wileński — szereg politechnik i innych wyższych zakładów stanowi koronę gmachu oświaty, w którym rodzi się do lepszego życia nowa Polska. Jeżeli z zasobów przeszłości potrafi z całym pietyzmem wyłuskać zdrowe ziarno tradycji i uczynić niem siew — plon, bogaty plon nie da siebie czekać.

Tradycja Wilna z jego uniwersytetem ma szczególny walor narodowy. Wiążą się z niemi wspomnienia, dla Polaka najdroższe, najwyższej czci godne. Cała epoka porozbiorowa zabacza się o Wilno mnóstwem ogniw łańcucha, ukutego ze wspomnień niewoli, a przecież będącego jednocześnie najpiękniejszym wzlotem wolnego ducha narodu. Tu się zaczyna epos mickiewiczowski; nie trzebaby więcej, aby Wilno mogło sięgać po koronę władztwa duchowego ojczyzny. Czyż jednak można zapomnieć o tej plejadzie rówieśnych Mickiewiczowi postaci, plejadzie, która przez pół wieku szła na czele Polski? Ideologja emigracyjna, tak twarda i bezkompromisowa, gdy chodziło o sprawę narodową, a tak lotna i podniebna, gdy chodziło o sprawy wszechludzkie, ideologja ta poczęła się na ławach uniwersytetu wileńskiego, przeszła kalwarję więzienną w obróconych na kaźń celach klasztornych i nietylko została wierną sobie do końca, ale jeszcze umiała swą mocą zapłodnić następne pokolenia. Z tego tytułu, gdyby nie było innych, już Wilnu należałoby się miejsce poczesne wśród wszechnic polskich.

Ale są i inne tytuły o wartościach niezmiennych, wiecznotrwałych, równie doniosłych dla Polski, jak dla całej ludzkości. Wartość naukowa Wilna pozwalała mu przodować znacznie po za prowincje litewskie, wtedy, kiedy Warszawa krzepła dopiero, jako środowisko nauki, po tylu wstrząsach politycznych, a Kraków i Lwów zmagały się z masą germanizacyjną, przenikającą i za mury wolnego miasta. Podziwiać trzeba, że w warunkach niewoli politycznej i nieobliczalnego despotyzmu Wilno potrafiło wydać tylu wszechświatowej miary uczonych. Dość przejrzeć historję jakiejkolwiek dziedziny wiedzy, aby dostrzec ich wiekopomne trudy, stanowiące do dziś podwalinę nauki polskiej.

Dlatego zrozumiałym jest kult, jaki mają Wilnianie dla swego uniwersytetu. To *magna charta* polskości tamtych stron, sztandar polski, dumnie łopocący nad jagiełłowym grodem. Ktoby chciał Polsce na wschodzie zadać cios śmiertelny, musiałby wykorzenić z dusz łączność duchową z resztą narodu, odebrać Wilnu prymat kulturalny na całej, pojętej po mickiewiczowsku Litwie, uczynić je miastem, jakich wiele, odbierając mu ową prawie stołeczną dostojność. Zabiegała o to Rosja od powstania listopadowego, przez czasy krwawe Murawjewa — i napozór skutecznie. Jednak napozór tylko, bo Wilno i jego młodzież potężnym skokiem dołączyło się do narodu, kiedy przyszła po temu pora. Pokost moskiewski, a właściwie cienka warstewka dziegciu, która powlekała miasto, znikła bezpowrotnie w obliczu prawdy dziejowej i jej triumfu. Uniwersytet wskrzeszony stanął znowu na straży ducha polskiego na Litwie i broni go skutecznie, żarliwie i odważnie.

Wieża astronomiczna uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. (Photo-Plat).

Przywiązani do niego Wilnianie popierają wszechnicę ze wszystkich sił, zdając sobie sprawę, iż ona to właśnie jest najpotężniejszą emanacją ducha polskiego na Litwie, ducha, nie oręża, który stworzył idealne warunki polskiego życia narodowego na Litwie.

Dlatego również, z racji uroczystości uniwersyteckich w Wilnie, cała Polska łączy się z Wilnianami w radości i dumie. Cała Polska czuje wielkie, mocarstwowe znaczenie istnienia prastarej uczelni, dziś kresowej położeniem, ale zawsze jaknajbardziej centralnej charakterem. Każdy Polak u stóp Ostrej Bramy czuje się, jak dziecię u macierzyńskich kolan. I wzamian tych szeregów młodzieży z województw wileńskiego, nowogródzkiego i poleskiego, które ciągną po naukę na zachód, idą gromadą z zachodniej Polski do Wilna, wiedząc, że znajdą tam gorące podawnemu „czucie i wiarę", narodowe, uzupełniające „mędrca szkiełko i oko".

Antoni Bogusławski.

Z teki karykaturzysty



Głowacki, Prezes Sądu Okręg. w Kaliszu. b. dyr. departam. więziennictwa.



Mec. Sokołowski, Dziekan Rady Adwokackiej.



Batycki, Nacz. Wydz. Administr. Min. Sprawiedliwości.



Zenon Bańkowski, Sędzia Sądu Najwyższego.

Zbrodniarze w Chicago



Inkasenci banków w Chicago są zaopatrzeni w safesy i pancerze chroniące ich przed napadami.

Setki detektywów włóczy się po ciemnych zaułkach Chicago. Zaułkach, w których zbrodnia i bezprawie tuła się na podobieństwo pomykających cieniów, w których wieczne „nieznane" odstrasza i nęci liczne rzesze turystów.

Gdy taki detektyw podczas swych samotnych spacerów natknie się na leżącego bezwładnie, ciepłego jeszcze trupa, pierwszą jego troską jest upewnienie się, czy nieboszczyk należy do „gansterów", czy też jest zwykłym śmiertelnikiem.

W pierwszym wypadku ogranicza się jedynie do krótkiego raportu przed komisarzem okręgu, w drugim rozpoczyna energiczne śledztwo.

Tłumaczy się to prosto.

W Chicago istnieją trzy rodzaje policji:

Policja miejska, która czuwa nad ładem i porządkiem publicznym, nie wglądając jednak w sprawy prohibicyjne. Policja państwowa, zajmująca się prohibicją i sprawami przemytniczemi, oraz organizacje przemytnicze, utrzymujące tajną, świetnie zorganizowaną i oczywiście nieuznawaną przez rząd policję.

Wielcy przemytnicy alkoholu, właściciele tajnych gorzelni i potajemnych spelunek muszą mieć personel, chroniący ich mienie przed złodziejami, konkurentami i policją.

„Gansters'i" są policją najbardziej przez innych przestępców szanowaną.

Porachunki swe załatwiają krótko. Kula w łeb i basta. Finita la comedia!

Nie należy sądzić, jakoby „gansters'i" zajmowali się pobocznie drobnemi kradzieżami, lub matactwami. Przeciwnie, posiadają swoista etykę i ambicję.

Zdolności śledcze tych gentlemenów są fenomenalne. Biada włamywaczowi, który omyłkowo rozpruł kasę „przemytnika - patrona".

Natychmiast udaje się on do swoich ganstersów, mówiąc:

— Dziś w nocy skradziono mi 10.000 dolarów, kiedy mogą mieć nadzieję otrzymania ich z powrotem?

— Hm, dziś mamy piątek. Pracowali najprawdopodobniej w tej dzielnicy Fred Carow, Stary Brown i Jack Lery, przytem pierwszy z nich siedział niedawno w pace i byłby ostrożniejszy. To może być tylko Lery, lub Brown. Jutro na dziesiątą rano będą pieniądze panie szefie.

I szło krótkie, treściwe ultimatum do obydwu podejrzanych włamywaczów:

Szanowny Panie!

Podejrzewamy pana, lub pańskiego kolegę p. Lery o kradzież 10.000 dolarów. Niech pan będzie łaskaw we własnym interesie do jutra do godz. 10 r. pieniądze odesłać pod niżej wskazany adres.

Z poważaniem

(—) Gansters.

Pieniądze były, lub nazajutrz znajdowano p. p. Browna i Lery z małemi dziurami w czaszce.

Niekiedy i „gansteri" dostawali za swoje i męty mściły się, strzelając do nich bez pardonu.

Policja w porachunki te nie miesza się nigdy.

— — — — — — — — —

Król przemytników jest zazwyczaj znakomitym organizatorem i wpływ, który roztacza w Ameryce jest niezmiernie duży.

Ustosunkowany miljarder nieraz wpływa na bieg polityki państwowej, płacąc za każdą *przysługę* tysiącami dolarów.

Ostatnio takim „królem" był niejaki Capone, Włoch z pochodzenia.

Odznaczał się niezwykłym darem organizacyjnym i genjalną sprężystością. Podczas wielkiej wojny walczył dzielnie w armji amerykańskiej, odnosząc aż trzy rany.

Al Capone potrafił zapobiec morderczym walkom między poszczególnemi klasami konkurujących z sobą przemytników.

Ujął wszystko w swoje ręce, tworząc jedyny w swym rodzaju trust, który potrafił uczynić z przemytnictwa jedną z najbardziej ruchliwych gałęzi amerykańskiego przemysłu.

Al Capone zaprzyjaźnił się z młodą 22-letnią dziennikarką, znaną pod pseudonimem „Księżniczki Pat", która jak nikt inny znała świat przemytników, „gansersów" i detektywów.

Znajdował dziwną przyjemność we wtajemniczaniu młodej, eleganckiej osóbki we wszystkie ponure tajemnice rzemiosła.

Wpływ, który wywierała „Księżniczka Pat" na przemytników, był istotnie dziwny.

Gdy się ukazywała, milkły swary i kłótnie i nieraz tłumili przekleństwo, które wisiało już na ustach.

Większą część roku spędzał Al Capone w Miami, na malutkiej skalistej wysepce.

Jego rezydencja było dostępna tylko drogą wodną, lub powietrzną.

Otaczał ją wysoki mur, za którym stróżowali dobrze uzbrojeni ludzie z nakazem uśmiercenia każdego śmiałka, który poważyłby się bez pozwolenia wedrzeć się na maleńką wysepkę.

— Co się z nim stało dzisiaj?

Prawdopodobnie zginął z ręki jeszcze potężniejszego i młodszego konkurenta, który nadal zrasza Nową Ziemię strumieniem alkoholu i krwi, wydaje miljony dolarów i o dziwo, — potrafi stawać się niekiedy pożytecznym.



Oblężenie gniazda przemytników połączone jest z niebezpieczeństwem życia, ruchome tarcze stalowe ułatwiają agentom podejście do spelunek.



Potajemna fabryka spirytualji odkryta przez policję chicagowską. Jako siły pędnej, zastosowali „fabrykanci" motor automobilowy.

BRUNO WINAWER.

Egzamin Edisona

Pisma zamieszczają długie artykuły o tem, jak to sędziwy, genjalny, najpopularniejszy dziś w Stanach Zjednoczonych człowiek, Thomas Alva Edison, szukał swego następcy i spadkobiercy wśród młodzieży amerykańskiej.

Zgromadził 49 — wybranych — kandydatów z przeróżnych Stanów i zadał im 57 pytań z rozmaitych dziedzin.

Czem się różni siła od energji? Jakie fakty łączy pan z nazwiskami Davy, Faraday, Curie, Priestley, Dalton, Solvay, Ramsay, Lavoisier? W jakich wypadkach — według pana — kłamstwo jest dozwolone? Co pan wie o Jenny Lind? Jaki wynalazek przyniósł — pańskiem zdaniem — największy pożytek ludzkości? Przypuśćmy, że pan wylądował nagle na wyspie bezludnej — bez narzędzi — i chce pan poruszyć ciężar (3 tonny) — np. blok skalny — jakby pan sobie postąpił? Poza zwykłą reakcją na rytm i melodję — jaką właściwie wartość przypisuje pan muzyce? Co pan czyta najchętniej: romanse, opisy podróży, życiorysy, dzieła naukowe? Gdyby tylko *trzy pisma* miały zostać na świecie, któreby pan chciał ocalić od zagłady?

Nie wiem, jak odpowiadali kandydaci, ale sam starszy pan zdał egzamin świetnie. Lawiruje bardzo sprzytnie między wiedzą i niewiedzą, bada prawdomówność chłopca, między pytania z zakresu fizyki wsuwa kwestję, co pan wie o śpiewaczce szwedzkiej (Jenny Lind), ocenia lotność umysłu i fantazję, wtrącając między sprawy rozstrzygnięte i zakończone, krótkie zdania: jak — według pana — należałoby ulepszyć i rozwinąć samolot? albo jak będzie wyglądało auto za lat pięćdziesiąt?

Przeglądam ów kwestjonarjusz Edisona i z rozpaczą stwierdzam, że na tym egzaminie obcięlibyśmy się wszyscy co do nogi — profesorowie i uczniowie, sztubacy i ojcowie rodzin, mężowie stanu, nauczyciele, panny na wydaniu i recenzenci teatralni.

Zasadniczą cechą bowiem naszego wykształcenia jest — fałszywy wstyd. Gromadzimy przez lata cało szeregi wiadomości encyklopedycznych i uważamy to za plamę na honorze i rzecz haniebną, jeżeli ktoś szybko nie znajdzie odpowiedzi na pytanie: kto walczył pod Waterloo? co robiła Lola Montez? czem się trudniła Marja Baszkircew? kiedy królowa Bona umarła? co napisał Walter Scott? kto uciekł z Mekki do Medyny?

W tych dziedzinach jesteśmy bardzo mocni i na wszystkie kwestje, dotyczące śpiewaczki szwedzkiej, odpowiadamy — we śnie i na jawie — celująco. Więcej nawet — tu raczej skłamiemy, niż się przyznamy do ignorancji, raczej spłoniemy ze wstydu, niż pomylimy Homera z Hiramem i Hemarem.

Ale jak poruszyć blok na wyspie odludnej? Co poprawić w samolocie dzisiejszym? Jaki wynalazek był właściwie najlepszy? Jak się zmieni samochód po kilku ćwierćwieczach?

Wszędzie, gdzie trzeba coś wydobyć z siebie, nie z encyklopedji podręcznej — nasze wykształcenie średnie i wyższe zawodzi sromotnie. Więcej nawet — uważamy to za wdzięk specjalny, za przymiot i urok towarzyski, kiedy ktoś plecie głupstwa o elektryczności, bredzi o radjofonji, o maszynie parowej. Co ciągnie tramwaj elektryczny? „Proszę pani, ja mam wrażenie, że to żydzi robią".

We snach gorączkowych widzę taki obraz: któryś z naszych głośnych patentowanych inteligentów zabłąkał się — jak to bywa w powieściach fantastycznych — w czasy przeszłe, odległe, staje przed obliczem potężnego władcy, faraona, wezyra, brodatego asyryjczyka. Możnowładca wschodni patrzy nań groźnie i powiada wreszcie:

— Podobno wyprzedziliście nas o kilka wieków w rozwoju kulturalnym? Jakieś tam fale, promienie Roentgena, rad i filmy dźwiękowe? Gadaj, co wiesz. Prędko! Mów o Plancku i Einsteinie. Jazda!

Inteligent warszawski poci się, jak ruda mysz, cytuje na chybił - trafił jakieś wyrwasy z leksykonu, ale właściwie — nic nie wie. Na czem polega telefon? co gdacze w odbiorniku radjowym? jak urządzić dzwonek elektryczny? dlaczego samochód sam jedzie? czemu dziś fruwamy z Warszawy do Gdańska za drobną opłatą, a przez tyle wieków nie umieliśmy się wzbić w powietrze na skrzydłach? Dlaczego wielkie fabryki mają takie wysokie kominy? co się pali w rurce neonowej i kto ją napełnia? Dlaczego współczesna lodownia obywa się bez lodu?

W rozmowach towarzyskich odpowiadamy zazwyczaj z wdzięcznym uśmiechem: *nie wiem* i to nam ujmy nie przynosi. Gdyby nam się poplątały Revellersy z Wallace'ami, gobeliny z gibellinami albo Guilberty z Gerbaultami i Gelbartami — to byłaby hańba i kompromitacja. Ale technika? — furda!

Wielki wezyr — faraon — padyszach czeka na odpowiedź i milczy. Później daje znak siepaczom: skrócić to stworzenie dwunogie o głowę! Wyprowadzić! Pogrzebać na koszt państwa!

Nasze wykształcenie — średnie i wyższe — składa się z tu i owdzie z połapanych określeń, słów urywków, zdań... Gdybyśmy się znaleźli, jak Robinson, na wyspie bezludnej, nikt by nietylko bloku skalnego, ale dużego kloca poruszyć z miejsca nie potrafił.

Z przerażeniem myślę o tem, że ktoś z nas trafia w samolocie rakietowym na Marsa i ma obcym ludziom z innej planety opowiedzieć, co się na ziemi działo przez tyle wieków...

Stanie. Podrapie się za uchem. Odchrząknie i powie:

— Królowa Bona umarła.



Sędziwy król wynalazców amerykańskich Edison postanowił wybrać swego następcę W tym celu zaprosił 49 młodych ludzi ze wszystkich Stanów A. P., których poddał egzaminowi. Na fotografji naszej widzimy Edisona w otoczeniu komisji egzaminacyjnej, w skład której weszli między innymi Dr. Lewis Perry, George Eastman, Lindbergh i Henryk Ford.

Dziwaczne testamenty

Sporządzenie testamentu nie należy bądź - co bądź, do miłych zajęć w życiu człowieka Lekki dreszczyk i dziwne uczucie ogarnia każdego, kto postanawia spisać swoją ostatnią wolę, bez różnicy, czy to czyni u siebie w domu, zamknąwszy się w czterech ścianach na rozmowę „z sobą samym", czy też z całą powagą, u notarjusza.

Pozornie zdawaćby się mogło, że wszystkie te dokumenty, zamykające niejako historję życia człowieka, są do siebie podobne, że sakramentalny napis na kopercie „otworzyć po mojej śmierci" sprowadza je wszystkie do jednego wspólnego mianownika, t. j. do skrzętnych i denerwujących poszukiwań spadkobierców i władz podatkowych, do rozczarowań, złorzeczeń lub błogosławieństw...

Są jednak wyjątki, które ze zwykłego faktu „ostatniej woli" czynią historję niesamowitą, dziwaczną, sensacyjną, obrazując spadkodawcę w oświetleniu skomplikowanej jego umysłowości: zawiści, zemście, dowcipie lub rozczarowaniu.

Na czele szeregu dziwacznych testamentów niechaj stanie historja spadku amerykańsko-kanadyjskiego multimiljonera Sir Mortimer Barnett Davisa, który pozostawił majątek, wynoszący 30 miljonów funtów szterlingów. W ostatniej swojej woli, Davis zapisał synowi połowę tego majątku, z tem jednak zastrzeżeniem, że po śmierci syna, pozostały po nim spadek nie przechodzi ani na synową, ani na potomstwo, lecz na wdowę po Davisie, której zresztą zapisał drugą połowę majątku. W ten sposób spadkodawca wydziedziczył swoją synową i potomstwo z niej zrodzone, mszcząc się na synu za mezaljans. Należy bowiem dodać, że młody Davis, wbrew woli ojca, poślubił jedną ze znanych, kabaretowych artystek „Dolly Sisters", Rosie Dolly.

Niejaki Mr. Slossoon, zmarły w Nowym Jorku, w roku 1928, cierpiał przez całe życie na manję prześladowcza, obawiając się, że będzie okradziony. W wielkiej trwodze o to, aby testament nie przepadł i aby jego ostatnia wola została ściśle wykonana. Slossoon wpadł na genjalny pomysł. Była chwila, że spadkobiercy sadzili, że Slossoon przeniósł się do wieczności bez pozostawienia ostatniej woli, bowiem, mimo skrzętne poszukiwania, nie znaleziono nigdzie testamentu. Dopiero żałobnik ,który ubierał nieboszczyka do trumny spostrzegł, że zmarły ma na plecach, między łopatkami wytatuowany napis. Okazało się, że był to testament. Ale nieboszczyk przez swój oryginalny pomysł popełnił zasadniczy błąd prawny: prawo bowiem wymaga, aby pod testamentem figurował własnoręczny podpis. A tego, oczywiście, Slossoon nie był w stanie dokonać. Przysporzył więc swoim spadkobiercom nie mało kłopotu przy prowadzeniu wielkiego procesu z rządem amerykańskim, który przejął majątek.

W czerwcu 1928 r. zmarł w Londynie dyrektor wielkiego koncernu browarów Bass, Radcliff and Gretton Limited, Major Hugh Gretton i pozostawił spadek w wysokości 2 miljonów angielskich funtów szterlingów. Testament, którym Gretton zapisał cały majątek swemu bratu, posłowi, pułkownikowi Johnowi Grettonowi, składał się za ledwie z 90 wyrazów. To skąpstwo słów, spadkodawca wyjaśnił w następującym komentarzu do testamentu: „Majątku swego dorobiłem się dzięki małomówności. Nawet najważniejsze rzeczy należy ujmować krótko. W dziewięćdziesięciu słowach udało mi się opisać to, na co innym potrzeba 90 stron. To przeświadczenie da mi spokój nawet po śmierci".

Przed niedawnym czasem zmarł w Chiswick, w Anglji kupiec Thomas Newman, znany w całej dzielnicy ze swej pedantycznej niepunktualności i z tego powodu przezwany „Akademikiem niepunktualności". Newnam pragnął snać pozostać wiernym temu przyzwyczajeniu nawet po śmierci i w swoim testamencie między innemi, polecił spadkobiercom, którym zresztą pozostawił majątek wynoszący 100 tysięcy funtów, wykonanie następującego warunku: „Miałem zwyczaj spóźniania się o 10 minut. Pragnę nie wyłamać się z pod tego przyzwyczajenia nawet po śmierci i dlatego życzę sobie spóźnić się również o 10 minut na swój własny pogrzeb". Woli jego stało się zadość. Goście żałobni zebrali się w kościele o ściśle określonej godzinie i nawet ksiądz z asystą stawił się punktualnie. Brakło tylko nieboszczyka. Dziesięć minut oczekiwania przeszły w ciszy i skupieniu, poczem otworzono na oścież podwoje kościoła i wniesiono trumnę ze zwłokami.

Niezwykle stropieni byli spadkobiercy i urzędnicy notarjalni, gdy przed kilku laty odczytany zo-

stał testament miljonera hiszpańskiego Umberto Sanchez, zmarłego w Barcelonie. Sanchez, który swą zawrotną karjerę rozpoczął od stanowiska drugorzędnego komiwojażera, dorobił się majątku przez dokonanie całego szeregu pomyślnych tranzakcyj i dzięki surowej bezwzględności; dochodzącej do brutalności. Nieznośny ten charakter odstręczał od niego wszystkich, krewnych i obcych, którzy wyrzekli się Sancheza raz na zawsze. Ponieważ jednak dziwak do śmierci został kawalerem, krewni jego, mimo całą nienawiść, liczyli, że majątek przypadnie im w udziale. Jakże jednak zostali rozczarowani i zdumieni, gdy w testamencie, sporządzonym przez zmarłego miljonera wyczytali następującą klauzulę: „Aby uniemożliwić moim krewnym zakwestjonowanie ważności niniejszego testamentu, załączam trzy zaświadczenia najpopularniejszych lekarzy — psychiatrów naszego miasta, którzy stwierdzają, iż w momencie sporządzenia testamentu znajduję się przy pełni rozumu i świadomości czynu. Wskutek tego niema żadnego środka prawnego przeciw niniejszemu dokumentowi. Wiem, że krewni moi zawsze uważali mnie za bezdusznego nikczemnika, łotra, wyzutego z czci i wiary. Nazywanie mnie kanalją należało do najłagodniejszych epitetów; chętniej i częściej identyfikowano osobę moją z bratem Lucypera i przy każdej sposobności odsyłano mnie do piekła. To też, cały mój majątek, składający się z cudownej willi wraz ze wspaniałym parkiem, olbrzymiego majątku ruchomego i nieruchomego, przedstawiający sobą wartość 170 miljonów pesetów, — zapisuję djabłu. Jedynie tylko 200 000 pesetów w gotówce wypłacić należy Senioricie Joachimie Lapeira, która, gdy byłem jeszcze biednym młodzieńcem, poświęciła mi kilka cudownych godzin". Istotnie, władze sądowe odnalazły spadkobierczynię, dostojną staruszkę; nie pamiętała już wspaniałomyślnego człowieka, który w ciągu pięćdziesięciu lat nie zapomniał o niej i zabezpieczył jej starość. Natomiast z przekazaniem reszty majątku diabłu, sąd miał niebyle jakie kłopoty i po procesie, trwającym przeszło dwa lata orzekł, iż wskutek „niemożności odnalezienia spadkobiercy", majątek, pozostały po Don Umberto Sanchez przechodzi na rzecz skarbu państwa.

Bardzo przykre skutki pociągnęły za sobą losy spadku po niejakim Johnie Weinreb, zmarłym w miejscowości Passaic, stanie New Jersey. Ponieważ zmarły, nie wymienił w testamencie żadnego ze spadkobierców z nazwiska, lecz zarządził, aby pozostały po nim majątek odziedziczyli wszyscy krewni, żyjący w Europie, odnośne władze czuły się zmuszone ogłosić o tem w prasie, z wezwaniem, aby prawomocni krewni Weinreba zgłosili się u konsulów. Niewiadomo czy chochlik drukarski spłatał figla, czy też z przyzwyczajenia, prasa rozdęła tę wiadomość, jak zresztą zawsze niemal czyni, gdy chodzi o sensację amerykańską, dość, że wysokość spadku opublikowana została na 2 miljony, zamiast 2 tysiące dolarów. 183 osoby zgłosiło pretensje do spadku, z pośród których najenergiczniejszym okazał się Eugenjusz Weinreb z Miskolcza, który nie zadowolił się konsulatem amerykańskim w rodzinnem mieście i pojechał do Ameryki, aby „na właściwym gruncie" i bezpośrednio zainkasować „trochę miljonów". Jakież było jego rozczarowanie, gdy miljony okazały się tylko tysiącami. Rozczarowany krezus zrezygnował ze spadku ograniczywszy się tylko do wszczęcia procesu o wywindykowanie kosztów podróży.

Bez konkurencji był i chyba na zawsze pozostanie dowcip niejakiego Alphonse'a Claré, powstały przy okazji sporządzenia testamentu. Claré za życia znany był jako wesołek pierwszej miary; nieskazitelny kompan, dowcipniś, pijus, żył bez troski z dnia na dzień i z tego, czem go ugoszczono. Jakże zdziwione zostały władze, gdy po jego śmierci znaleziono pod poduszką kopertę z napisem „Moja ostatnia wola — przedstawić wszystkim mieszkańcom rodzinnego miasta". Nie pozostawało nic innego, jak wezwać wszystkich mieszkańców rodzinnej wsi zmarłego do ratusza dla uroczystego otwarcia koperty i odczytania testamentu. Niczego przyjemnego nie usłyszeli, gdyż Claré pisał: „Najmilszemu człowiekowi miasteczka, panu Marchand, który mile spluwał ilekroć zdarzało mu się spotkać mnie na ulicy, zapisuję piękną chustkę pani burmistrzowej, która skądinąd darzyła go wyjątkową czułością zawsze pod nieobecność męża. Panu komisarzowi Berlautowi, który w życiu swojem ani razu nie obdarzył żebraka chociażby najdrobniejszą jałmużną, zapisuję pięć sous, jakie zostałem winien gospodarzowi mieszkania za ostatni tydzień przed śmiercią. Panu żandarmowi André życzę, aby choć raz zdobył się na wymierzenie sprawiedliwości sobie samemu za łapówki, jakie przez szereg lat wyłudzał od ludności miasteczka ,a zwłaszcza od tych, którzy dorabiali się fałszowaniem artykułów pierwszej potrzeby". Podobne życzenia spisane zostały na 20 stronach i nie oszczędziły nikogo, kto choć raz skrzywdził dowcipnisia .Nie trudno sobie wyobrazić, ile było z tego powodu przykrości i... śmiechu.

Migawka z Afganistanu

(Masażyści i bandyci).

Otworzyłem drzwi do wartowni przy bazarze. Na tapczanie, pokrytym dywanem leżał na brzuchu Kusa - Ali - Abbas, mąż o twarzy pozbawionej zarostu, typowy tybetańczyk, a na *nim stał* masażysta Abduł Kadiwa, miarowo ześlizgując się stopami z jego korpusu.

W ten sposób wyprawiał sztuki swojego zawodu lekarza ciała i duszy. Masaż bowiem ma w Afganistanie szerokie zastosowanie. Dowolnie, może wzmacniać organizm, lub pogrążać w spoczynek, zależnie od działania na różne systemy nerwów. W tym wypadku chodziło o pocieszenie Kusy, bezbrodego, więzionego od lat rozbójnika z zawodu.

Usiadłem na progu, obserwując tą niezwykłą czynność. Kusa stękał pod ciężarem nóg ludzkich na swoim grzbiecie, co mu nie przeszkadzało prowadzić rozmowę z masażystą Abduł - Kadirą.

Po krótkim czasie deptanie zmęczonego Kusy ustało, podniósł się a Abduł - Kadiwa, głaszcząc swą długą brodę, wdział pantofle i wyszli razem do sąsiedniej herbaciarni, dokąd podążyłem i ja.

Kusa, acz człowiek nie młody, odznaczał się tem, że będąc uwięzionym... pozostawał na wolnej stopie, w pobliżu więzienia t. zw. „Bandichowy", czyli domu bandytów. Z przywileju tego korzystał wzamian za polewanie placu przed urzędem policyjnym i na bazarze. Przywilej ten wyróżniał go od reszty, setki bezmała więźniów, również zakutych w kajdany, jak i Kusa, pozostających jednak w murach więzienia i przymykanych na noc za jedną nogę do pręta żelaznego przy podłodze.

Interesowało mnie, w jaki sposób, wędrując po świecie Kusa dostał się do afgańskiego więzienia. Chętnie mi opowiedział swe przygody, zwłaszcza, że przyszliśmy do herbaciarni.

Było to lat temu dziesięć. Należał do koczującej szajki. przywódcy Hadzi Jussaf Agasi'ego i po licznych napadach w czasach zamieszek rewolucyjnych pod wsią Husein Abad dostał się do niewoli w ręce wojska rządowego. Odtąd prowadzi życie religijne, modli się co kilka godzin, bije pokłony Allahowi i... polewa ulicę, a bardzo chętnie popija, gdy kto go zaprosi.

Kusa stał się filozofem nielada. Mówiąc więc o stosunkach w Afganistanie twierdzi (nie bez słuszności), że przodkowie dzisiaj rządzących ludzi również byli rozbójnikami, tak samo jak i on, czasami trudniąc się czem innem.

Bo właściwie wojna, czy rewolucja to najlepsza sposobność do zrobienia tam karjery. Można ze sprzedawcy placków zostać ministrem, albo policmajstrem, uprzednio ograbiwszy z szajką kilka osób zamożnych.

Jako przykład przytacza ród rządzącego w mieście Hamjo, policmajstra. Dziad jego jeszcze nic nie miał na sobie, chodził tylko w koszuli i pantalonach, jak obecnie on, Kusa, a teraźniejszy policmajster ubrany poza służbą w jedwabie, wyleguje się na dywanach i prawie tyleż pracuje, co jego ubogi przodek.

Dlatego warto i dla każdego innego mieć złoto i srebro dzisiejszych kupców i dygnitarzy. Uważa, że na świecie wszystko musi ulegać zmianom. Zamożni powinni stawać się biedakami, a biedacy bogaczami, bo życie jest surowe w swoich prawach. On, Kusa, jeszcze choć na starość doczeka się, że będzie panował nad dzisiejszymi panami.

Anarchiczna dusza afgańska przemawia ustami najbardziej upokorzonego w prawach człowieka. Pomimo wszystko, po masażu nożnym, dusza jego wzlata i żyje nadzieją

Kunicki.



Zdetronizowany król Afaganistanu Amanullach w stroju narodowym, w którym niczem się nie różni od swych poddanych — bandytów.



Drogi afgańskie nie nadają się bynajmniej na raidy samochodowe (u góry). Typowy sklep kramarza (u dołu). Photo - Plat.



LIST IRMY DO HENRIETTY.

Droga!

A więc stało się to już wczoraj. Henryk zadzwonił, przyszedł, jak zwykle o pół do dziewiątej i po paru chwilach rozmowy o błahostkach, powiedział poprostu:

— Irmo, znamy się już blisko rok. Wiesz dobrze, jakie żywię uczucia dla ciebie. Czy zgadzasz się zostać moją żoną?

Mimo, że byłam przygotowana na to pytanie, nie odrazu mogłam się zdobyć na odpowiedź. Przecież to wszystko, co miałam mu powiedzieć, sprowadzało się do jednego okrutnego słowa „Nie"... Wkońcu jednak zdecydowałam się.

Mówiłam, że go bardzo lubię, cenię i szanuję te wszystkie blade słowa, które zazwyczaj mówi się w takich sytuacjach; mówiłam, że znamy się zbyt mało; że — wreszcie — (by go w błąd nie wprowadzać) nie mogę go sobie jako swego przyszłego męża wyobrazić...

Jestem mu bardzo wdzięczna, że zaraz odszedł, że nie nastąpiło milczenie we dwoje. Wdzięczna mu jestem za ten mocny, męski uśmiech.

A teraz, droga, napisz, co Ty myślisz o tem. Ciągle i ciągle od wczoraj stwarzam nowe „za" i nowe „przeciw" i w końcu dochodzę do przekonania, że postąpiłam słusznie. Nie znałam go: cóż znaczy rok wspólnych spacerów, teatrów i kin? Czasem i miesiąc wystarczy ale tu... Wiesz, jak ja się zapatruję na małżeństwo! Muszę poznać człowieka tak, bym z całą pewnością powiedzieć mogła: jesteśmy dla siebie. Mam zresztą — wiesz o tem — mówiłam Ci nieraz — taki wyimaginowany obraz mego przyszłego męża. Naiwne to nieżyciowe, a jednak... Dotąd z tego nie zrezygnowałam. Przebywałam w towarzystwie Henryka przez rok cały, przyglądałam mu się, oceniłam jego wysoką wartość jako człowieka i mężczyzny, a jednak.

Być może — zawiniło tu pierwsze wrażenie. Kiedy w maju zeszłego roku po raz pierwszy ujrzałam Henryka u Ciebie, pomyślałam: człowiek, który nie przejdzie obok mnie jak tysiące innych, „coś" między nami powstanie, ale jednocześnie: — nie ten". I wszystko później działo się pod sugestją tego pierwszego, najsilniejszego wrażenia. A teraz jeszcze coś. Zadowolona i troszkę może dumna z siebie jestem, że wykluczyłam wzgląd na „opinię", przecież w naszym „świecie" od roku prawie mówili, że „chodzimy razem", że w związku z tem muszę być przygotowana na przykre plotki. I cieszę się, że tę „cywilną odwagę", pewną niezależność duchową przejawiłam.

Całuję i czekam na odpowiedź.

Irma.

* * *

Tego samego wieczoru, kiedy panna Irma wysłała list do Henrietty, Jerzy Zandt młody i obiecujący lekarz, toczył ożywioną rozmowę z przyjaciółką swych lat dziecinnych — panią Ireną, z męża (od miesiąca) Remizowską.

— Masz, mój drogi, lat 28, jesteś na stanowisku, masz widoki na dobrą praktykę... Z usposobienia jesteś spokojny, nie masz ani trochę żyłki awanturniczej. Nie wielu znam młodzieńców, którzyby w tym stopniu jak ty odpowiadali warunkom, wymaganym na dobrego męża i ojca. Odpowiedz mi szczerze, dlaczego się nie żenisz?

— Jerzy pomyślał chwilę, potem odparł:—Jestem za stary. Nie, nie śmiej się — za stary. Uważam, że powinienem był się ożenić, mając 22 lata. Oczywiście, odpowiesz, że wówczas odpadają wszystkie te — powszechnie uważane za najistotniejsze — momenty, jak pozycja społeczna, możność zapewnienia dostatniego utrzymania rodzinie, dojrzałość zupełna: fizyczna i psychiczna. Ale wierz mi, Ireno — to nie jest najważniejsze. W wieku 22 lat formowałem się dopiero. Każde przeżycie odczuwałem stokroć intensywniej, aniżeli teraz. Wówczas budowałem swoje życie, swój charakter. Poślubiwszy wówczas kobietę, budowałbym wspólnie moje i jej życie, mój i jej charakter, usposobienie, poglądy, sympatje i antypatje. Każdy sukces, każdy zawód, każdy zdany egzamin, każda zarobiona złotówka, każde doznanie, jako przeżyte bujniej, intensywniej, głębiej — wszystko toby sprawiło, żebyśmy się zrośli ze sobą, że miałaby miejsce symbioza w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu. I gdyby nawet życie później niewiele nam przyniosło, mielibyśmy za sobą tradycję, tradycję najbujniejszych chwil, najbujniejszych przeżyć.

Teraz jestem człowiekiem skończonym skrystalizowanym. Żeniąc się, poślubiłbym człowieka równie skrystalizowanego. Równie jak ja — zamknięty, skończony świat. Mogłaby być przyjaźń, tolerancja wzajemna, zrozumienie, ale nigdy małżeństwo, rozumiane jako symbioza. Oto dlaczego, przyjaciółko, nie żenię się teraz...

Ostatnia „Chiquita". — Głośnik w Luna - Parku woła donośnie i ochryple:

— „Dowidzenia państwu!" — Pod gwiaździstem niebem zlatują na szynach ostatnie wagony kolejki djabelskiej, nie skrzypią już karuzele, cichnące wrzawa w Salonie Śmiechu. Zwolna opadają fale gwaru.

— A jednak zgubiliśmy ich — mówi Irma do Jerzego, rozglądając się po tłumie rozbawionych, śmiejących się ludzi.

— Tak, gdzieś się zapodzieli — odpowiada Jerzy, szukając napróżno reszty towarzystwa.

— Dobrze, że Zygmunt przewidział tę możliwość i umówiliśmy się na wszelki wypadek. Wszyscy maruderzy mają się stawić o dwunastej przed mostem Kierbedzia. Irma i Jerzy poznali się dziś wieczorem u państwa Brodzkich. Irma była jedną z pięciu pań, Jerzy — jednym z sześciu panów. Los chciał, że w Luna - Parku, dokąd udali się wszyscy na zakończenie wieczoru, Jerzy znalazł się obok Irmy: razem jeździli tramwaikami, razem spadali w błogim przestrachu w bezpieczną grozę kolejki djabelskiej, razem wreszcie, zagubieni w tłumie, wypłynęli przed oświetlone wrota... Było to równo tydzień po wysłaniu przez Irmę listu do Henrietty.

— Która godzina, panie... — jakie jest właściwie imię pana?

— Jerzy... — do usług, panno Irmo, — teraz 11.15 — odparł, spoglądając na zegarek.

— To pełne trzy kwadranse..., co z tem zrobić?

— Wie Pani, co? — pójdziemy okólną drogą. Ot pobijemy rekord odległości od Luna-Parku do mostu Kierbedzia...

— Doskonale! Idziemy... Czy nie wie pan, dokąd prowadzi ta droga na prawo i pod górę?

— Nie wiem, jeszcze nigdy tędy nie chodziłem — ale możemy spróbować. Przypuszczam, że wychodzi na tor kolejki Most...

— Tej, która biegnie brzegiem Wisły do Jabłonny?

— Tak, właśnie tej. Przyjrzymy się przy sposobności Wiśle w księżycu...

Poszli. Po chwili znaleźli się na wale, po którym biegły szyny wąskotorowej kolejki Jabłonna — Karczew. Irma rozejrzała się dokoła.

— Przecież już jesteśmy koło mostu... Nie przypuszczałam, że to tak blisko.

— Za pięć minut będziemy na moście, — odrzekł Jerzy — możemy śmiało powałęsać się jeszcze z pół godziny.

Zeszli po piasku i rumowiskach na sam brzeg Wisły. Woda spokojna, ciemna i błyszcząca. Mosty Kierbedzia i Kolejowy refleksem lamp wbiły miedziane gwoździe w wodę. Warszawa cicha i daleka światłami przegląda się w błyszczącej polewie. Irma i Jerzy bez słowa patrzą na księżyc — zbłąkaną w mieście lampę wczorajszej poezji.

— Siądźmy na chwilę, — mówi Jerzy. — Dziś był najgorętszy dzień lipca, a tu jest przynajmniej trochę chłodu.

Siadają na piramidzie białego wiślanego piasku.

— Korzystajmy — jutro nadjadą furki i zwiozą ten piasek. — Taki jest czysty i chłodny.

Jerzy opiera twarz na dłoni, łokieć jego pogrąża się w piachu.

Na wybrzeżu w odległości ok. 50 metrów rysowały się kontury chaty; od strony mostu Kierbedzia na szynach stały ciemne wagony kolejki — okolica była dziwnie pusta i niezamieszkała. Z tego miejsca wydawała się Praga bezludnem, niezabudowanem przedmieściem. Dalekie wycie psów i cichy plusk wody potęgowały to wrażenie. W takiej chwili, po upalnym dniu, rozmowa toczy się leniwie lecz łatwo. Irma nic nie wie o Jerzym, Jerzy nic nie wie o Irmie. Nie mówią o sobie. Wątek rozmowy, zaczepiony o fantastycznie spiętrzone domostwa Starej Warszawy (mówią o zamkach średniowiecza), przeskakują na wodę (teraz gawędzą o pływaniu), aby za chwilę, na widok rzęsiście oświetlonego statku, gwarzyć o wycieczce do Skandynawji.

— Zagadaliśmy się — mówi Irma — a tu statek dopływa już do przystani. Chyba dochodzi dwunasta?

— Tak, spacerowe statki krążą po Wiśle w trzech etapach: między szóstą a dwunastą. Są w przystani już kilka minut przed dwunastą.

— Prościej będzie przecież spojrzeć na zegarek, zamiast zajmować się matematyką — śmieje się Irma.

— Słusznie — zgadza się z uśmiechem Jerzy — jest za siedem dwunasta.

— Idziemy!

Wstają i idą wolno w kierunku mostu Kierbedzia.

— Będziemy punktualni — mówi Irma.

— Tak — odpowiada Jerzy z roztargnieniem — zdaje mi się, że słyszę kroki za nami. Nadsłuchują oboje. Rzeczywiście coś jakby krok. Po chwili z za wagonu wychyla się cień. Zbliża się i w świetle latarni widać wyraźnie granatowy mundur policjanta.

— Proszę pana, pan pozwoli! — woła wysoki posterunkowy o tępej, surowej twarzy.

— Co się stało — odpowiada Jerzy ze zdziwieniem — przepraszam panią na chwilę...

— Państwo siedzieli tam na piasku, prawda?— Państwo wyszli z Luna-Parku?

— Tak, ale o co chodzi?

— Niema się czego zapierać... Widziałem, zdaleka coprawda, ale wystarczy...

— Coś pan widział, panie, nie zapominaj się pan!

Jerzy nie pamiętał już o ostrożności. Niedorzeczność oskarżenia była w jego pojęciu tak oczywista, że poprostu nie znajdował słów na odparcie zarzutów. Rzeczy oczywistych nie umiemy dowodzić, równie nie potrafimy obalać oczywiście niedorzecznego zarzutu. Jednak, zamiast milczeć, lub łagodnie trafić do przekonania policjantowi — uniósł się, począł grozić zażaleniem do wyższej władzy, rozwodził się nad głupotą posterunkowych i wygadywał tym podobne, a najmniej w danej sytuacji pożądane rzeczy.

Policjant czekał spokojnie, aż Jerzy umilknie.

— Pański dowód!...

Jerzy spojrzał desperacko dokoła. Ani żywej duszy. Irma, która stała opodal, domyśliła się o co chodzi i gotowa była zapaść się pod ziemię ze wstydu.

— Jeżeli pan mi nie okaże dowodu, zmuszony będę siłą sprowadzić pana i tę panią do komisarjatu — mówi posterunkowy i wyjmuje gwizdek.

Jerzy bez słowa podał posterunkowemu paszport.

— Pani dowód?! — zwrócił się do Irmy. Przejrzawszy jej legitymację akademicką, pokręcił głową i spisawszy protokuł o obrazę moralności publicznej, zasalutował i odszedł.

Jerzy gryzł w sobie wściekłość. Za wszelką cenę nie należało dopuścić do spisania protokułu. Absurd, idjotyzm, głupota, chamstwo! Ale co teraz? Hańba, hańba! Nie śmiał spojrzeć na Irmę. Czuł, że postąpił jak smarkacz.

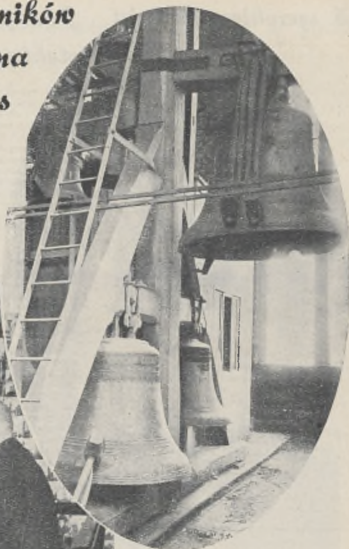
Irma szarpała zębami chusteczkę, usiłując powstrzymać łzy. Nie udawało się to jednak. Wyprzedziła Jerzego, nie chcąc, by widział, że płacze. Nienawidziła go w tej chwili.

(Dokończenie nastąpi).

U króla dzwonników Jef Denyna z Malines



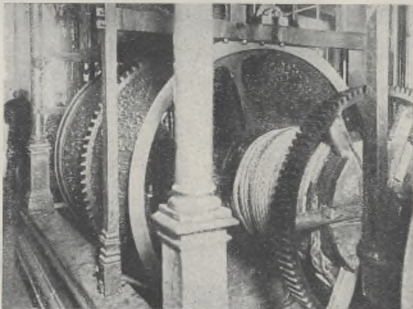
Przepiękna katedra św. Rombaut w Malines słynie z dzwonów (carillon), umieszczonych na wieży, którą Vauban nazwał ósmym cudem świata.



Dzwony, stanowiące chlubę „Carillon" w Malines zostały odlane w XVII-m stuleciu. Czarują one czystością dźwięku, a staranny dobór tonów stwarza niezwykłą harmonję.



Mistrzem dzwonników belgijskich jest sędziwy Jef Denyn, który potrafi wydobyć cudne symfonje z 50-u dzwonów katedry w Malines. Nikt nie zdołał dorównać mu w tej niezwykłej sztuce.



Mechanizm dzwonnicy w Malines bynajmniej nie jest prosty. Splot lin, połączonych z kunsztowną klawjaturą ożywia spiżowe tony prastarych dzwonów

Malines — po flamandzku Mechelen — jest jednem z piękniejszych miasteczek w Belgji, słynącem z niebywałego koncertu dzwonów, który ściąga tu licznych turystów z całego świata.

Dzwony te, w ilości 50-u, z których 31 pochodzi z roku 1674, umieszczone są w starożytnej katedrze św. Rombaut, wzniesionej w początkach XIII-go stulecia. Piękna świątynia ozdobiona jest wysoką wieżą, zasługującą, dzięki swej kunsztownej budowie, na miano ósmego cudu świata. Istotnie bowiem, kolosalna masa wieżycy, na której szczyt prowadzą schody o 554 stopniach, opiera się z jednej strony na łuku wielkiego portalu wejściowego, z drugiej — na sklepieniu głównej nawy, wznosząc się ponad wysokość katedry na 30 m.

Widok ze szczytu — nadzwyczajny! Całe miasto, złożone niemal wyłącznie z domostw zabytkowych, z których niejedno zbudowane zostało w zamierzchłych czasach średniowiecza, dalej, poza granicami miasta roztacza się typowy krajobraz flamandzki — pola, poprzecinane masami drzew, kanały, torujące sobie drogę pomiędzy szpalerami topoli, wiatraki...

Tu, ze szczytu wieży, podziwiał ten widok Ludwik XV, był tu również i Gustaw III, szwedzki, który specjalnie zboczył z drogi, by posłuchać koncertu dzwonów, założonych przed kilkunastu laty, a już słynnych w całym świecie.

Podczas wojny światowej nie oszczędzono starożytnego miasta. W r. 1914 artylerja niemiecka bombardowała Malines i uszkodziła zarówno katedrę, jak i pałac biskupi, rezydencję bohatera Belgji, kardynała Mercier. W parę miesięcy po tej ciężkiej próbie spalono kilka dzielnic miasta.

Po zawarciu pokoju turyści przybyli tłumnie na pola niedawnych walk Amerykanie (któżby inny?) przypuścili szturm do Malines, ofiarując za dzwony katedralne setki tysięcy dolarów.

Odprawiono ich z niczem.

Mieszkańcy Malines wolą słuchać przepięknych koncertów mistrza Jefa Denyn i rok rocznie, jak dawniej, ściągają tu ze wszystkich miast belgijskich wirtuozi - dzwonnicy na konkurs, od którego trzęsą się mury prastarego grodu.

Bo Malines, miasto, które wszyscy w Belgji otaczają czcią, nie zapomina, iż stąd, na cały świat, rozległ się głos protestu więzionego przez wroga prymasa, kardynała Mercier, a przy ołtarzu katedry św. Rombaut, czcigodny kapłan odprawiał przy wtórze dzwonów dziękczynne nabożeństwo za osiągnięte zwycięstwo.

Z szerokiego świata



Królowa Marja rumuńska udała się samolotem w podróż, wraz ze swą najmłodszą córką, księżniczką Heaną. Po szczęśliwym przylocie do Baleic, uznała, że podróż samolotem jest bardzo piękna i całkowicie bezpieczna. (Atlantic)



Książe pruski Ludwik Ferdynand, ożeniony z gwiazdą filmową Lili Damitą, wstąpił do szkoły pilotów. (Wide World)



Książe Saragossy, namiętny amator - maszynista, został mianowany maszynistą królewskiego pociągu. (Atlantic)

Pod znakiem elektryczności

Jest rzeczą niewątpliwą, że rozwój produkcji energji elektrycznej, jest jednem z naczelnych zadań wszystkich krajów, pragnących utrzymać swój rozwój przemysłowy na poziomie, któryby umożliwił zdobycie, ew. zachowanie niezależności i samowystarczalności gospodarczej. Specjalnie doniosłe znaczenie ma sprawa elektryfikacji w Polsce. Spuścizna bowiem objęta po zaborcach, jest w tej dziedzinie równie smutna, jak w wielu innych. Podczas gdy niektóre kraje na zachodzie i Ameryka Półn. wytwarzają rocznie do 1000 kwg. na mieszkańca, Francja — 300 kwg. to w Polsce liczba kwg. na mieszkańca nie przekracza 80...

Energja elektryczna, jak wiadomo, może być czerpana z węgla i wody bieżącej. W zależności od przewagi tego lub drugiego źródła kształtuje się też polityka elektryfikacyjna różnych państw. W państwach, obfitujących w węgiel, produkcja energji elektrycznej odbywa się przez spalanie węgla w zakładach cieplnych. Kraje natomiast, ubogie w węgiel, są skazane z natury rzeczy na korzystanie z wód bieżących w centralach hydraulicznych. Kraje te, Szwajcarja, Norwegja, Włochy, pierwsze przystąpiły do racjonalnego wykorzystania swych sił wodnych i kosztem nader wielkich wysiłków zdołały osiągnąć bardzo poważne wyniki.

Szwajcarja prowadzi już od r. 1900 nader intensywną politykę elektryfikacyjną, z wysiłkiem nie mającym sobie równego w żadnym innym kraju.

W Szwecji, czerpiącej wobec braku węgla energję elektryczną z siły wodnej, powołana została spejalna instytucja, posiadająca w zakresie elektryfikacji kompetencje dyktatorskie, a wydawanie koncesji jest uzależnione od ogólno krajowego znaczenia nowych instalacyj.

Siła wodna dostarcza w Norwegji 80% zasobów energetycznych. Na 170 elektrowni 134 zostały zbudowane przez samorządy. Zgórą 10 procent narodowego majątku finansowego poświęconych jest instalacjom hydroelektrycznym. Norwegja jest typowym krajem rozpowszechniania elektryczności w gospodarstwie domowem. Niema mieszkania, któreby nie posiadało aparatów elektrycznych do gotowania, ogrzewania, odkurzania i t. d. Więcej jeszcze — gdyż produkcja energji elektrycznej przekracza w tym kraju własne potrzeby, wobec czego pomyślano o... eksporcie jej do pobliskiej Danji.



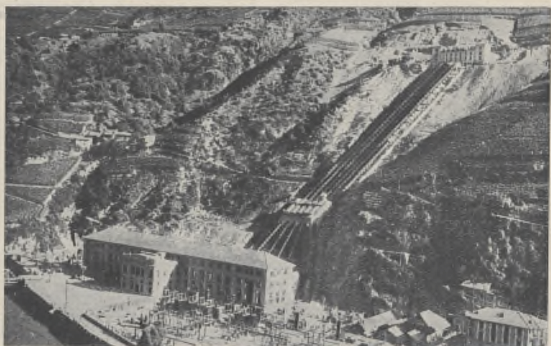
Oto jak wygląda hala maszyn elektrycznych w światowej fabryce elektrycznej (Wide World).

Tania energja wodna pozwoliła krajom skandynawskim rozwinąć pomiędzy innemi, produkcję syntetycznych nawozów azotowych z powietrza, co z kolei ma duże znaczenie dla rolnictwa i stanowi poważną pozycję eksportu.

Jednem z najbardziej zasobnych w siły wodne państw europejskich stała się po wojnie Italja, a to naskutek przyłączenia południowego Tyrolu. Wyzyskanie sił wodnych postępuje tu w szybkiem tempie, uniezależniając kraj od importu węgla. Italja produkuje obecnie 7,6 miljardów kilowatogodzin w zakładach hydroelektrycznych, podczas, gdy całkowita produkcja zakładów cieplnych nie przekracza 300 miljonów kwg., czyli 4% ogólnej energji. O tempie rozwoju eksploatacji sił wodnych świadczy fakt, że w ciągu trzech lat spożycie energji wzrosło z 2,4 miljardów kwg. na 7,6 miljardów kwg. Wzrost ten całkowicie przypada na przemysł, gdyż oświetlenie pochłania wszystkiego 8,5% spożycia. Całkowita realizacja planu elektryfikacyjnego ma potrwać jeszcze 15 lat.

W krajach posiadających zarówno własny węgiel, jak i siłę wodną, zagadnienie elektryfikacji jest bardziej złożone, przy wyborze bowiem źródła energji wchodzą w grę różne względy, jak oszczędność wyczerpujących się zasobów węgla, korzyści, wypływające z przeróbki przemysłowej węgla, niższe ceny energji z siły wodnej i t. d.

Ciekawy przykład racjonalnej polityki w tym względzie dają przedewszystkiem Stany Zjednoczone. Kraj ten posiada olbrzymie zasoby węgla



Największą elektrownię wodną w Europie posiada miejscowość Kardaun. Elektrownia ta zasila cały Tyrol w siłę i prąd elektryczny. (Atlantic)

kamiennego i lignitu, jest ponadto zasobny w paliwa płynne. Nie mniej jednak dokonano w Stanach Zjednoczonych wielkiego wysiłku dla wyzyskania „białego węgla", wykorzystując do 40% całej użytkowanej energji wodnej na świecie. Rozpatrywane obecnie nowe projekty obliczają koszt dalszych urządzeń na 5 miljardów dolarów i przewidują oszczędność 200 miljonów ton paliwa i pół miljona robotników.

Przejdźmy z kolei do rozpatrzenia zagadnienia elektryfikacji w Polsce, która obecnie, zwłaszcza w związku z dyskusją nad t. zw. koncesją Harrimana, stała się nader aktualna.

Źródła energji, jakiemi Polska rozporządza, są dosyć znaczne. Zasoby węglowe Polski wynoszą do głębokości 1800 — 2000 m. przypuszczalnie ok. 155 miljonów ton. Jest to po Niemczech i Wielkiej Brytanji trzecie miejsce w Europie (nie licząc Rosji Azjatyckiej). Przy obecnem zużyciu zapas węgla starczy nam jeszcze na kilka set lat, podczas gdy w Anglji wyczerpie się prawdopodobnie za jakieś 250 lat, a we Francji jeszcze wcześniej.

Według danych Polskiego Komitetu Energetycznego („Zasoby energji w Polsce") siły wodne, jakiemi kraj nasz rozporządza, wynoszą 3.652.000 KM. dla średniej wody rocznej. Pod względem łatwości wyzyskania ekonomicznego podzielono nasze siły wodne na trzy kategorje. Do kategorji I, najbardziej nadającej się do wyzyskania, należy połowa naszych sił wodnych o mocy 1.795.000 KM. Najważniejsze ich zasoby znajdują się w dorzeczach Górnej Wisły, Prutu i Dniestru, następnie w okolicach gór Świętokrzyskich i w Lubelskiem, oraz na Pomorzu. Obecny stan wyzyskania naszych sił wodnych wyraża się cyfrą 125.000 KM., eksploatowanych w dużej ilości drobnych zakładów hydraulicznych, z czego większa część znajduje się na Pomorzu. Według najnowszych statystyk istnieje w Polsce ogółem 369 elektrowni użyteczności publicznej, o ogólnej mocy instalowanej około 342.000 kw. Statystyki te nie obejmują wszystkich instalacyj przemysłowych użyteczności prywatnej.

Jasnem się staje, iż w stosunku do rozporządzalnych źródeł energji elektrycznej stoimy na nader niskim poziomie, a stały przyrost wytwórczości krajowej wzmaga z każdym rokiem zapotrzebowanie, któremu jesteśmy w stanie zadosyćuczynić zaledwie w jednej trzeciej.

Jakże wyjść z tego położenia? Oto co pisze w tym względzie wybitny specjalista, inż. Fr. Kobyliński (Prezes Związku Elektrowni Państwa Polskiego) w zbiorowem dziele ekonomicznem, wydanem przez „Przemysł i Handel" z okazji dziesięciolecia naszego odrodzenia:

„...niezmiernie dalecy jesteśmy od zadosyćuczynienia choćby bardzo skromnie obliczonym rzeczywistym potrzebom kraju. Przemysł elektrotechniczny należy do tych gałęzi przemysłu, które wymagają inwestowania istotnie wielkiego kapitału. Należy otwarcie przyznać, że kapitały krajowe, przy obecnym stanie naszego rynku finansowego tylko w nieznacznej części mogą zaspokoić potrzeby elektryfikacji i dla tych celów niezbędny jest dopływ kapitału zagranicznego".

Podobnym poglądem kierowało się snać Min. Robót Publicznych, gdyż opierając się na ustawie elektrycznej (z dn. 2.3.1921 r.), opracowanej przy udziale najszerszych sfer gospodarczych, postanowiło uwzględnić wystąpienie zagranicznej grupy Harrimana i nadać jej uprawnienie na elektryfikację większego obszaru państwa (80.000 km. kw.) Zakłady elektryczne według tego projektu, stanowiłyby pierwszą komórkę przyszłej elektryfikacji całego kraju.

Ciekawą jest rzeczą, iż krok Ministerstwa, wywołał całą falę sprzeciwów i burzę niezadowolenia. Gwałtowna polemika skierowana została zwłaszcza przeciw monopolowi, długości trwania koncesji i wysokości opłat.

Nie wchodząc w szczegóły, któreby wymagały zbyt obszernego traktowania przedmiotu — należy zauważyć, iż odnośnie do długości koncesji, precedens 60-letniego terminu istnieje od nadania uprawnienia elektrowni w Gródku pomorskim (ustawa austrjacka, uważana za wzór światowy, przewiduje nawet 90 lat). Przewidziana skądinąd rewizja taryf w okresach 5-letnich sprawia, iż w samej rzeczy uprawnienia, jako takie, mają ważność 5-letnią.

Pogląd ten jest również cytowany u inż. F. Kobylińskiego, który wreszcie oświadcza, iż ogólno państwowe znaczenie elektryfikacji winno usunąć wszelkie wahania. „Potanienie produkcji przemysłowej przez rozwój elektryfikacji i związane z tem wzmożenie zdolności eksportowej naszego przemysłu wielokrotnie okupi w najkrótszym czasie wynikające z tego importu kapitału zagranicznego passywne pozycje naszego bilansu handlowego czy płatniczego... i żaden wysiłek w kierunku współdziałania w rozwoju elektryfikacji nie będzie za wielki".

Ultima ratio? Solidaryzm gospodarczy, w imię którego zdobywaliśmy się na niejedno poświęcenie, rozstrzygnie niechybnie i tę sprawę w najbardziej odpowiedni sposób.

Znaczenie praktyczne gimnastyki w życiu kobiety współczesnej

Życie powojenne pędzi na złamanie karku i wlecze nas za sobą. Pozostać w tyle, to znaczy zostać stratowanym przez tych, co gonią za nami.

Żyjemy w ciągłej gorączce, w nieustannej trwodze że nie nadążymy. Praca zawodowa, dom, mąż, dzieci, a jeszcze jakaś praca społeczna, od której niepodobna się uchylić, stosunki towarzyskie, które trzeba przecież podtrzymać, krawcowa, modystka, fryzjer... I tylko czasem, jakże rzadko niestety, chwila błogiego farniente w wygodnym fotelu, z dobrą książką w ręku, żeby się ostatecznie nie zaniedbać umysłowo, nie zamienić w wiecznie goniący automat, wiecznie powtarzający cudze, usłyszane w przelocie zdania, z braku czasu na refleksje.

W przeładowany ten program musimy jeszcze wcisnąć gimnastykę; przynajmniej dwa razy tygodniowo.

Jeżeli słabość charakteru, powiedzmy otwarcie lenistwo, lub obowiązek wyjątkowo rannego wstawania, nie pozwalają nam na systematyczne codzienne ćwiczenia poranne, te parę godzin zbiorowej gimnastyki staną się dla nas jedyną deską ratunku przed roztyciem się, ociężałością, artretyzmem... przed przedwczesną starością.

Jaką gimnastykę wybrać! To rzecz podrzędnej wagi.

Tu widzę groźne twarze wszystkich fanatycznych zwolenników systemów: Dalcroze'a, Duncan, Müllera i innych... każdy z nich radby zmiażdżyć mnie wzrokiem, mnie, która odważam się lekceważyć ich bóstwo: SYSTEM. Więc przepraszam ich, jak umiem najpiękniej, i zapewniam, iż żywię głęboki i istotny szacunek dla każdego z tych systemów zosobna, a nadewszystko dla wszystkich razem wziętych (bo nigdy nie pogodzę się z twierdzeniem fanatyków, jakoby te systemy wykluczały się wzajemnie).

Dla kobiet dorosłych, nieraz nawet nieco przerosłych, zajętych, nie zamierzających poświęcić się lekkiej atletyce, akrobatyce lub tańcom solowym — wszystkie subtelne, odrębności teoryj i systemów pozostaną, siłą rzeczy, sprawą raczej obojętną. Najważniejszem jest dla nich, aby miały godzinę zdrowego ruchu w dobrze przewietrzonym lokalu. Ruchu zbiorowego i na komendę. Nader ważnym czynnikiem psychicznym jest ta zbiorowość i ta komenda. Jak za dotknięciem magicznej różdżki odlatują precz wszystkie troski, związane z życiem wielkomiejskiem. Pozostaje jedna myśl ambitna, jedyne pragnienie: jaknajdokładniej wykonać zadane ćwiczenie.

Wszystkie kłopotliwe, dzienne sprawy zostały w szatni, odłożone wraz z ubraniem. Krótka tuniczka lub trykocik, miękie sandałki gimnastyczne włożone na bosą nogę — oto strój w którym nic nas nie krępuje i nie uwiera. Dookoła zastęp podobnie ubranych siostrzyc. Wierzyć się nie chce, że ubiegły lata, że już nie jesteśmy na pensji.. A zresztą cóż się zmieniło? Nic się nie zmieniło.

Skoro potrafimy biegać jak dawniej, wspinać się po drabinie, wisieć na rękach i skakać przez kozła... co prawda nie zawsze odrazu nam się to udaje, ale kiedyś przecie udać się musi. Zwłaszcza, że robią to samo nasze rówieśnice, więc bierzemy na ambit i próbujemy dopóki się i nam nie uda, i to dobrze. A wtedy doznajemy uczucia satysfakcji, niedającego się z niczem porównać.

Znacznie mniej forsowne od gimnastyki szwedzkiej, ćwiczenia rytmiczne Dalcroze'a, polegają na odtwarzaniu ciałem wartości muzycznych, drogą ogólnego umuzykalnienia rozwijają zdolność skupiania się i opanowania ruchów i odruchów.

Typowe ćwiczenie Dalcrozowskie: nogi idą w tempie melodji, ręce odtwarzają kontrapunkt... na sakramentalne „hop", komendę Dalcrozistów, momentalnie nastąpić musi zmiana — nogi pójdą w tempie kontrapunktu, ręce przejmują melodję. Otóż ten przymus skupiania uwagi na wykonywanym rytmie, nieustanna gotowość spełnienia komendy, wykluczająca wszelką myśl postronną, wreszcie uniezależnienie wzajemne kończyn (dwa rytmy równoległe) — wszystko to ma nieoceniony a zbawienny wpływ na system nerwowy współczesnego człowieka.

Z punktu widzenia czysto praktycznego, można ćwiczeniom Dalcrozowskim zarzucić zbyt słabą prace mięśni. To też niektórzy doświadczeni pedagodzy, jak np. p. Adolfina Paszkowska, stosują z powodzeniem nadzwyczaj celowe przeplatanie rytmiki Dalcrozowskiej ćwiczeniami plastycznemi, wzorowanemi na Izydorze Duncan, wyrabiającemi piękny, klasyczny gest, kształcącemi w kierunku estetycznym i dającemi podstawy techniki tanecznej. Połączenie takie nie jest żadną herezją, gdyż sam wielki Jacques, zakładając swe słynne Hellerau, proponował „boskiej Izadorze" objęcie działu plastycznego w tej słynnej akademji umuzykalnienia ruchu. I tylko przewrażliwiona ambicja tancerki stanęła na przeszkodzie porozumienia, tak bardzo dla obu stron, pod względem artystycznym, pożądanemu.

Gimnastyka szwedzka wyrabia duchową tężyznę, fizyczną sprawność, odwagę i muskuły: te ostatnie nieraz nawet nadmiernie. Dlatego też doskonałe wyniki osiąga się przez połączenie tych trzech systemów, stosowanych racjonalnie i równomiernie. Wielka krzywdę robi się zakładom Dalcrozowskim, uważając je za szkoły tańca, współzawodniczące ze szkołami baletowemi. Jest to błąd tem grubszy, że słynny Jacques Dalcroze jest zaciętym wrogiem zarówno baletu jak i teatru w jego dawnej, konwencjonalnej formie. System swój uważa za drogę doskonalenia ludzkości przez wyrabianie w niej poczucia rytmu wszechrzeczy, umuzykalnienia, wewnętrznego ładu i radości życia, wskutek wzmożonej wrażliwości na piękno.

Ćwiczenia te zostały wprowadzone jako przedmiot obowiązujący we wszystkich zakładach wychowawczych, zaczynając od przedszkoli. Kobiety dorosłe muszą same pamiętać o tem, aby się nie poddać neurastenji, rozleniwieniu, znużeniu, zniecheceniu — wrogom czyhającym na każdym zakręcie wyczerpującego wielkomiejskiego życia. W lecie naturalnym naszym sojusznikiem, oraz najskuteczniejszym z kosmetyków, jest sport. W zimie, źródłem umysłowego odpoczynku, fizycznej sprawności i radości życia, staje się niezbędna, niezastąpiona GODZINA GIMNASTYKI.

Jadwiga Kiewnarska.



Uczennice szkoły plastyki wykonywują piękne ćwiczenie pod nazwą „Dążenie wzwyż".



Nr. 165. Oldzik Łada - Zabłocki (Warszawa)



Nr. 166. Ginusia Kuruszanka (Wilno)



Nr. 167. Krzysztofek Orlot (Łódź)



Nr. 168. Fredzio Bielawski (Częstochowa)



Nr. 169. „Stokrotka" (Warszawa)



Nr. 170. „Jedynaczka" (Łódź)



Nr. 171. Marja Elżbieta S. (Warszawa)



Nr. 172. Niunia Malińska (Lublin)

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"



Nr. 164. Jurek Drabik (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 163. Maryla Kuruszanka (Wilno)



Nr. 162. „Jędrek" (Warszawa, fot. Malarski)

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO „7 DNI"
Kupon z Nr. 38-go.



Nr. 158. „Jolantka" (Warszawa, fot. Dorys)



Nr. 157. „Rysio S." (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 156. „Jędruś" (Warszawa)

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nieujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Następujące Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI": *Warszawa* — Jan Malarski, Chmielna 10; *Kraków* — Fot. „Janina", Starowiślna 21; *Lwów* — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; *Zakopane* — Fot. Schabenbeck, Krupówki; *Rabka* — Fot. „Janina"; *Iwonicz i Rymanów* — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

GOTÓWKĄ

10.000 ZŁ. NAGRODY



Wobec coraz liczniej nadsyłanych zgłoszeń przedłużamy termin trwania konkursu „Najpiękniejsze Dziecko Polskie" do dnia 1 listopada b. r., poczem zostanie ogłoszony plebiscyt czytelników. Głosy nadsyłane przed tym terminem nie będą brane pod rachubę.

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda: 3 000 złotych,*
2 *Nagroda: 1 000 złotych,*
3 *Nagroda: 750 złotych,*
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera",
5 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem,
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak",
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu",
11, 12 *Nagroda:* Słuchawki „Polmet".
UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKOW „7 DNI".

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników „*Siedmiu Dni*", którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda: 2 000 złotych,*
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 *Nagrody: po 500 złotych,*
6, 7 i 8 *Nagrody: po 300 złotych,*
9 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 *Nagroda:* 150 złotych,
12, 13, 14 i 15 *Nagrody: po 100 złotych,*
16 do 24-ej *Nagrody:* wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu",
25, 26, 27 i 28 *Nagrody:* piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".
29 *Nagroda:* Słuchawki „Polmet".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 161. Rożenka Hereberżanka (Łódź)



Nr. 160. „Renatka" (Prużana)

Nr. 159. Januszek Rydel (Warszawa)



Nr. 173. Danuta Bokatto (Cukrownia „Izabelin")

Nr. 174. Irenka Żegota (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 175. Wanda Janina Żykwińska (Kutno)

W następnym numerze podamy dwunastą serję fotografij konkursowych.

JERZY MARJUSZ TAYLOR.

Dwa olbrzymy

— Aj, matko! Otwórz mi prędzej, jeśli chcesz, abyśmy dostąpili wielkiego szczęścia — wołał ciemnoskóry chłopiec, pukając zawzięcie do drzwi ubogiej chaty, skleconej z bambusu i pokrytej pękami słomy ryżowej.

Drzwi jednak otworzyły się nieprędko i długo jeszcze drżał w rannym chłodzie półnagi malec, zanim matka wreszcie wpuściła go do wnętrza.

A wpuściwszy, zaczęła od wymówek.

— Gdzież to wałęsałaś się, urwisie? — mówiła, grożąc mu pomarszczoną ręką. — Jest już przecież późno. Bracia dawno poszli łowić ryby, a Sem - Rap doi krowę. Każdy pracuje, a ty Vaiki, myślisz, że darmo będę cię karmiła plackiem i solonemi jajami kaczemi.

Głos starej Svami był surowy, ale ręka nie uderzyła chłopca. Vaiki był jej najmłodszem dzieckiem. Miała dużo względów dla tego ruchliwego, wesołego łobuza. Gderała mu wprawdzie, lecz na tem się kończyło. Vaiki zaś nadal pracować nie chciał, bo mówił — mały spryciarz — że nie po to go stworzył wielki Buddha, aby miał sobie ręce po łokcie urabiać. Toż stary bonza-astrolog, który mieszkał w lesie, przy starej świątyni Angkhor - Wat, stawiając mu horoskop zaraz po urodzeniu, zapowiedział uroczyście, że Vaiki stanie się kiedyś dla całej swej rodziny źródłem niezmiernej radości i wielkiego bogactwa. Vaiki słyszał o tem i zręcznie wykorzystywał owe wyjątkowe położenie cudownego dziecka.

Svami wierzyła w przepowiednie starego bonzy. Teraz więc również nie gderała długo na swą jedyną nadzieję, lecz zakrzątnęła się szybko, aby chłopca nakarmić. A miała dlań przysmaki nielada. Oho! Każdy, najlepiej nawet urodzony, mieszkaniec Sjamu, zjadłby takie śniadanie z wielkim apetytem.

Wydobyła rybę, co gniła od dwóch tygodni, aby nabrać wytwornego smaku.

Apetyczną tę rybkę, którą obecnie można było o dwadzieścia kroków przynajmniej wyczuć z zamkniętemi oczami, położyła Svami na drewnianym talerzu i posypała ją troskliwie grubą warstwą pieprzu oraz tartą, suszoną mąką. A na okrasę dodała jeszcze pieszczochowi dużo smażonych w miodzie pączków drzew mangowych.

Zdziwiła się bardzo, gdy Vaiki potrząsnął głową na znak, że gardzi temi specjałami. Ba! Nie chciał nawet także wziąć do ręki. Zbliżył się natychmiast do swej rodzicielki z miną wielce tajemniczą i prawdziwie po łobuzersku krzyknął jej wprost do ucha:

— Matko! Ja mam białego słonia.

O przeto po raz pierwszy w życiu nie oberwał od matki szturchańca.

— Co ty pleciesz, mały urwisie? Toż białego słonia nie widziano na ziemiach Sjamu od czasu, gdy zdechł ostatni w Bangkoku.

Swami pamiętała dobrze uroczystości żałobne, jakie odbyły się w stolicy z powodu zgonu świętego zwierzęcia. Pamiętała też, że kapłani za schwytanie w lasach nowego białego słonia wyznaczyli wielką nagrodę, a sam król obiecał szczęśliwego łowcę uszlachcić i nadać mu najwyższy order sjamski.

Ledwie nie zemdlała ze wzruszenia, gdy w następnej chwili Vaiki przyprowadził jej białego słonia. Małe to jeszcze było zwierzątko, niezgrabne i wystraszone. Słonik ten sam się złowił właściwie. Wpadł bowiem do głębokiego dołu, przeznaczonego na orzechy kokosowe i nie mógł już wygramolić się z powrotem. Vaiki pierwszy go spostrzegł i dzięki niemu, zgodnie z przepowiednią bonzy - astrologa nad ubogą chatą wieśniaków sjamskich wyciągnął szczodre dłonie miłosierny Buddha - Maitreja.

Rodzinie starej Svami więc słoń przyniósł szczęście. Albo zresztą mogło być inaczej? Słonie zawsze przecież przynoszą szczęście. Znana rzecz. Wszyscy wszak wiedzą dobrze, że niema nic skuteczniejszego na odmianę złych losów jak nabycie siedmiu wyrzeźbionych z kości lub agatu malutkich słoników. A już jeżeli który z nich ma trąbę zadartą do góry, to pewne, że takiego domu nie ominie łaskawa Fortuna.

Ale przedewszystkiem przynosi słoń szczęście swym łowcom. Dlatego też polują nań gorliwi i w Azji i w Afryce.

Zawziętym myśliwym zaś chodzi tylko o zdobycie cennych jego kłów, dochodzących niekiedy do wagi wprost olbrzymiej. Poszukiwane bardzo, jako materjał do wyrobu wszelkich ozdób, stanowią one poważny przedmiot handlu przeróżnych miast portowych pobrzeża afrykańskiego. Dla nich to jedynie prześladuje się dziś słonie na Czarnym Lądzie. A pozatem każdy myśliwy europejski, udający się na wielkie łowy do Rhodesji, Konga czy Abisynji, za punkt honoru uważa sobie taką grubą zwierzynę. I słonie afrykańskie, obecnie znacznie już przetrzebione, dawno może zostałyby wytępione zupełnie, gdyby nie pewne prawa ochronne, stosowane w kolonjach przez Anglję i inne państwa.

Utrzymuje się dziś powszechnie mniemanie, że słoń afrykański tak bardzo jest dziki i w porównaniu z indyjskim swym krewniakiem mało pojętny, iż obłaskawić go i przyuczyć do wykonywania wszelakich ciężkich robót nie można. Historja przecież przeczy temu dość wyraźnie. Armja Kartaginy wszakże posiadała liczne słonie bojowe, doskonale wytresowane do walki. Każdy z nich miał na grzbiecie lektykę, okrytą żelaznemi blachami, podobną do małej wieży. Opancerzony ten palankin posiadał w ścianach małe otwory, przez które razili wroga, znajdujący się w nim wojownicy.

Tym też oddziałom zapewne zawdzięczała Kartagina swe panowanie nad rozległą połacią Afryki. Nie były one bowiem jakąś ciężką kawalerją ówczesna, w której słoń pełniłby rolę rumaka. Porównać je można chyba jedynie z dzisiejszemi taczkami, które pra zwycięsko naprzód, szerząc śmierć. Ale słoń miał tę wyższość, że był tankiem żywym. Wrzawa bitewna, zapach krwi i nawoływania załogi własnej wieży bojowej wprawiały go w szał. Rozwścieczony, pałający żądzą zniszczenia, gnał przez pole, tratując wrogów. Sam przytem rzadko kiedy zapewne odnosił rany poważniejsze. Na widok pędzącego oddziału takiej ciężkiej jazdy musiały pierzchać w popłochu zbrojne w lekkie oszczepy hordy wrogich Kartaginie murzynów.

Ale nietylko z murzynami miały do czynienia słonie punickie. Poznały ich zalety bojowe nawet legjony rzymskie. Hannibal bowiem, rekrutujący swe wojska, jak wiadomo, prawie wyłącznie z mieszkańców Hiszpanji, Galji, a nawet Italji, z Kartaginy przywiódł poza nielicznym oddziałkiem wojowników jedynie nieocenione słonie.

Toż Hannibal przeprowadził swe słonie przez zmrożone wieczną zimą przełęcze alpejskie, gdzie musiały one brnąć wśród zwałów sypkiego śniegu.

Podobną kolekcją zresztą szczyci się i król angielski. Od czasu do czasu bowiem któryś z radżów podwładnego W. Brytanji kraju uważa za obowiązek i honor ofiarować swemu suwerenowi wspaniały upominek. Wędrują więc słonie siążęce za ocean, aby się stać widoczną oznaką hołdu wasali dla cesarza indyjskiego. A w Londynie kończą się, oczywiście, ich obowiązki reprezentacyjne. Nikt im już nie nakłada szytych klejnotami czapraków i nie zdobi grubych nóg złotemi obrączkami. Dostają zato poczciwe klapouchy dobre pożywienie w londyńskiem „Zoo", które też dzięki owej dobrowolnej daniny maharadżów rozporządza większą ilością tych olbrzymów niż jakikolwiekbądź inny zwierzyniec na świecie.

Jest tam ich stado prawdziwe, pomimo to jednak niema naturalnego przyrostu. Bo mnożyć się słonie mogą wtedy tylko, gdy mają pełną swobodę, w ojczystej dżungli afrykańskiej lub w nieprzebytych kniejach Indyj Wschodnich czy Sjamu. W zwierzyńcach nigdy nie rodzą się młode słonie. Wszystkie więc trąbiaste ulubieńce dzieciaków, które obdarują je cukierkami i chlebem, patrząc z zachwytem, jak podane przysmaki giną w ich ogromnych paszczach, zostały kiedyś przez kogoś schwytane w puszczy.

A liczba tych biegających jeszcze na wolności zwierząt powoli, lecz bezustannie się zmniejsza. W afrykańskich kolonjach niektórych państw urządzono wprawdzie pewne rezerwaty uroczyska, gdyż trzebić ich nie wolno. Ale czy na długo to pomoże? Kto wie. Może niedługo już największe to na lądzie zwierzę ssące znajdzie się na progu zagłady ostatecznej.

Wyginęły przecież w czasach przedhistorycznych pokrewne słoniom, ale przewyższające je znacznie rozmiarami mamuty, które w olbrzymich stadach koczowały po całej Europie podczas okresu lodowatego.

Kraje dziś gęsto zaludnione, pokryte siecią miast i osad, były wówczas jedną wielką pustynią, przypominającą dzisiejsze tundry syberyjskie, pokryte ubogą roślinnością. Ale nawet owe skąpe pożywienie wystarczało niewybrednym mamutom. A chłody znosiły te olbrzymy wyjątkowo dobrze. Ciało mamutów, podobnież jak współczesnych im, a dziś również wymarłych wielkich nosorożców, pokrywało prawdziwe futro — gęsty i długi włos rudawej barwy.

Potężne te zwierzęta żerowały po bezbrzeżnych równinach Europy i częściowo Azji. Ale pomimo swej siły i olbrzymich ostrych kłów, również padały niekiedy ofiarą ówczesnych myśliwych. Zdawałoby się przecież niemożliwem, aby człowiek z tej odległej epoki, za całą broń posiadający tylko strzały i toporki krzemienne, mógł powalić mamuta. A jednak musiało się to zdarzać, gdyż niejednokrotnie przecież w grobowcach przedhistorycznych, w jaskiniach lub w kurhanach trafiają się kły mamucie, pokryte rzeźbionym rylcem pierwotnego artysty postaciami zwierząt dawno już wymarłych. Nie brak wśród nich i groźnej postaci włochatego mamuta, oddanej niekiedy z prawdziwą dokładnością.

A podania o istnieniu tych zwierząt w mroźnych krajach dalekiej Syberji przechowało się tak długo, że rdzenni mieszkańcy ich, do niedawna wierzyli święcie, iż potężne mamuty żyją wciąż jeszcze. W ich mniemaniu, kryły się one wśród niedostępnych lodowców, do których dostęp uniemożliwiały głębokie śniegi. Dlatego tylko nikomu nie udało się upolować mamuta. Na wiosnę jedynie, gdy lody stopnieją nieco, można ujrzeć czasami potężne ciemne cielska.

Legenda owa tak uporczywie trwała wśród półdzikich plemion syberyjskich, że skłonni byli dać jej wiarę niegdyś nawet uczeni rosyjscy. Dlaczegóż nie można było przypuszczać, że gdzieś pochowały się jeszcze olbrzymie te zwierzęta.

Rozwiały legendę dopiero ekspedycje, wysłane przez petersburską Akademję Nauk do kraju wiecznej zimy. Wykryto bowiem wówczas zamrożone w lodach całkowite ciała mamutów a nawet włochatych nosorożców. Przechowały się one w ciągu długich tysiącleci, dzielących nasz okres od epoki lodowcowej, w całej świeżości dzięki niskiej temperaturze. Ale wydobyte z tych mroźnych pokrowców, psuły się szybko i z jednego mamuta zaledwie udało się zdjąć bez uszkodzenia skórę. Wielki ten zwierz przedhistoryczny wypchany w całej swej okazałości, jakby żywy, zdobi dziś kolekcję Muzeum Zoologicznego w Petersburgu, dając zupełnie dokładne pojęcie, czem były niegdyś owe wspaniałe olbrzymy.

Biały słoń, wabiony z dżungli przez tubylca z puszcz indyjskich.

POPIERAJCIE Ł. O. P. P.

Pierwszy przelot nad cieśniną La Manche

Niedawno obchodzono we Francji uroczyście dwudziestą rocznicę przelotu Ludwika Blériota nad cieśniną La Manche z Francji do Anglji (25 lipca 1909 roku).

Jeżeli jednak chodzi o ścisłość historyczną, to zgoła nie Blériot był pierwszym człowiekiem, który dokonał tego śmiałego czynu, bo już przed 124 laty inny aeronauta francuski, Jan Piotr Blanchard, przebył również drogą powietrzną tę cieśninę w kierunku odwrotnym!

Zaledwie minęło kilka miesięcy od wzlotu pierwszego balonu napełnionego powietrzem ogrzanem (5 czerwca 1783 r.), a wynalezionego przez Józefa i Stefana braci Montgolfierów, synów fabrykanta papieru w Annonay, a już fizyk Pilatre de Rozier i margrabia d' Arlandes dokonywują pierwszej podróży powietrznej.

Nie łatwo do tego doszło, król bowiem Ludwik XVI opierał się długo temu, aby jego poddani narażali swe życie w ten sposób. Zgodził się tylko, aby pod balonem, zbudowanym przez Stefana Montgolfiera, a który miał być puszczony w powietrze z parku wersalskiego w obecności pary królewskiej, umieszczono klatkę z owcą, kogutem i kaczką.

Gdy wszakże pierwsi ci „pasażerowie" powietrzni odbyli szczęśliwie, 19 września 1783 r., niezwykłą tę wycieczkę, uległ wreszcie naleganiom otoczenia i pozwolił, aby i ludzie sprobowali nowego sposobu podróżowania.

Przykład Pilatre de Roziera znajduje licznych naśladowców. Fizyk J. A. C. Charles buduje nowy balon, dla którego napełnienia używa już nie ogrzanego powietrza, lecz tlenu, a dnia 7 stycznia 1785 r. Jan Piotr Blanchard, mając za pasażera amerykanina, d-ra Jeffriesa, wzbiwszy się w powietrze z Duwru, przelatuje balonem nad cieśniną La Manche i ląduje szczęśliwie we Francji, w lesie Guinnes.

Pierwszy ten lot nad cieśniną morską miał przebieg dramatyczny.

Gdy Blanchard ze swym towarzyszem przelecieli zaledwie jedną trzecią szerokości cieśniny, balon ich zaczął opadać, wobec czego musieli wyrzucić do morza cały balast i wszystkie zbędne przedmioty. Pomogło to istotnie, gdy wszakże znaleźli się już niedaleko brzegów Francji, balon znalazł się powtórnie tak blizko fal morskich, że



Wzlot Pilatre de Roziera i margr. d'Arlandes.

aeronauci wyrzucili z gondoli nietylko liny i kotwicę, ale nawet znaczną część własnego ubrania. Wówczas dopiero balon podskoczył i zakreśliwszy wspaniały łuk w powietrzu, upadł na ziemię francuską, aeronauci zaś w negliżach, pomimo dotkliwego zimna, odetchnęli radośnie, uczuwszy twardy grunt pod stopami.

Blanchard przyjęty był w Paryżu z takim samym entuzjazmem, jak w 124 lata później rodak jego, Blériot, a król Ludwik XVI kazał wypłacić mu 1,200 liwrów gratyfikacji i wyznaczył mu pensję roczną tej samej wysokości.

Dowiedziawszy się o niesłychanym czynie Blancharda, Pilatre de Rozier powziął — jak doniosło z Paryża, pod datą 17 lutego 1785 r., pismo „Affiches du Poitou" — myśl przelecenia nad Atlantykiem, z Francji do Ameryki, twierdząc, że projektowany przez niego balon będzie mógł utrzymać się choćby pół roku w powietrzu bez straty gazu.

Niestety, szalony ten — nietylko wówczas, ale i dzisiaj jeszcze, czego dowodem śmierć tylu lotników — zamiar przelotu nad Atlantykiem ze wschodu na zachód, nie doszedł do skutku, gdyż Pitatre de Rozier, naśladując lot Blancharda, ale z Francji do Anglji, zginął tragicznie.

Skombinowany aerostat de Roziera, składający się z balonu o średnicy 37 stóp, napełnionego wodorem i z mniejszego, o średnicy 10 stóp, napełnionego powietrzem ogrzanem, aeronauta bowiem sądził, że przez zmniejszenie lub powiększenie ognia w ruszcie żelaznym, zamieszczonym pod tym balonem, zdoła utrzymać swój aerostat na jednakowej wysokości, wzbił się w powietrze z Boulougne sur Mer 15 lipca 1785 r.

W przeciągu pół godziny, gdy podwójny balon sunął wzdłuż wybrzeża, na wysokości około 3 000 stóp, wszystko szło dobrze. Nagle jednak widzowie tego lotu ujrzeli z przerażeniem, że ogień ogarnął oba balony. Po chwili Pilatre de Rozier i towarzysz jego, P. A. Romain, runęli na ziemię. De Rozier zabił się na miejscu, a Romain skonał po 10 minutach męczarni.

Na miejscu tem wznosi się dzisiaj pomnik na cześć pierwszych ofiar aeronautyki.

Warto chyba było przypomnieć o tych lotach z przed 124 lat, w chwili, gdy Francja, a z nią i świat cały, obchodziła dwudziestą rocznicę pamiętnego lotu Blériota.

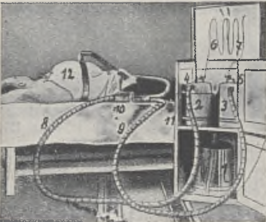
Przyrząd wskrzeszający

(BIO MOTOR)

Lekarz wiedeński, dr. R. Eisenmenger, skonstruował przyrząd wskrzeszający, przez wprowadzenie przezeń sztucznego oddychania, sztucznego obiegu krwi i masażu serca. Przyrząd ten winienby zainteresować szerokie sfery, a szczególnie wszelkie pogotowia lekarskie, szpitale, pogotowia wodne, zakłady położnicze, zarządy wojskowe i in.

Zwykłe metody stosowania sztucznego oddechu, celem przywrócenia omdlałym lub rzekomo zmarłym życia są dziś już niewystarczające. Nowa ta metoda kładzie szczególny nacisk na czynność serca i krwioobiegu przy należytej wentylacji płuc.

Przyrząd składa się z membrany pompy powietrznej (N. 1), puszczanej w ruch zapomocą umieszczonego w nim małego elektromotoru i przy pomocy 2-ch krótkich węży gumowych łączy się



Przyrząd służący do wskrzeszania topielców, zaczadzonych i otrutych.

z 2-ma naczyniami powietrznemi (N. 2 i 3), przyczem w jednem z nich znajduje się powietrze rozrzedzone, w drugiem zaś — zgęszczone.

Te ssąco-tłoczące naczynia zaopatrzone są w wentyle regulacyjne (N. 4 i 5) i posiadają nadto po 1-ym manometrze (N. 6 i 7). Od obu tych naczyń (2 i 3) ciągną się dwa węże gumowe (N. 8 i 9) do kranu trójramiennego, poruszanego korbką ręczną (N. 10), będącą w łączności zapomocą 3-go węża gumowego (N. 11) z opaską brzuszną (N. 12).

Ta wypukła opaska zaopatrzona jest na brzegach swych w przebiegające naokoło uszczelnienia i zostaje osobie, poddawanej wskrzeszaniu, nakładany w ten sposób, że pomiędzy ścianą brzuszną i dolnym odcinkiem klatki piersiowej, a opaską tworzy się przestrzeń bezpowietrzna, w której można dowolnie powietrze zgęszczać lub rozrzedzać. Nałożenie przyrządu nie przedstawia żadnych trudności i trwa conajmniej jedną minutę. Wprowadzenie w ruch przyrządu jest niezmiernie łatwe i przyrząd może być czynny w ciągu całych godzin.

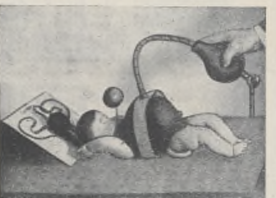
Wpływ na krążenie przy zastosowaniu omawianego przyrządu jest wielki i może wywołać takie wahania ssąco-tłoczące serca, póki serce samo pracy tej nie przyjmie na siebie, co zostaje jeszcze przyśpieszone masażem, wykonywanym przez sam przyrząd.

Zabieg cały, przez dowolne regulowanie ciśnienia powietrza, daje zupełną gwarancję bezpieczeństwa i oszczędza organizm, czego nie można powiedzieć o zabiegach ręcznych.

Stosowanie przyrządu szczególnie nadaje się u topielców, uduszonych, zasypanych ziemią, rażonych prądem elektrycznym, otrutych gazami oraz innemi truciznami, u osób zmarźniętych, dotkniętych wstrząsem, udarem sercowym oraz w przypadkach nagłej śmierci.

Taki sam przyrząd w małym formacie nadaje się do regeneracji nieżywo zrodzonych noworodków.

A. F.



Przyrząd do wskrzeszania noworodków.

Czy wiecie że...

...pierwszy szyb naftowy na świecie został wywiercony przez pułkownika Drake w Oil Creek w Pensylwanji. Szyb ten miał 20 metrów głębokości i aż trzy miesiące pracowano nad jego wywierceniem. Płk. Drake otrzymał od swego rządu za tę pracę rentę w wysokości 1500 dolarów rocznie.

*

...najstarszem drzewem na świecie jest jodła w miejscowości Krasaki w Japonji. Dosięga ona wysokości 24 m., w obwodzie ma 12 m. i dla podtrzymania jej gałęzi użyto aż 380 podpór. Szacują ją na 1300 lat, otoczona jest specjalną czcią, tak, że nie wolno jej nawet dotykać.

*

...w muzeum turyńskiem znajduje się mapa, która została sporządzona jeszcze na dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa i przedstawia pewną połać Nubji. Jest to bodaj najstarsza mapa.

*

...z górą 50 proc. futer znajdujących się u nas w handlu pod różnemi nazwami, fabrykowanych jest z królików bądź strzyżonych, bądź tylko przystrzyżonych i farbowanych.

*

...włoskie towarzystwo „Touring Club" wydało w tych dniach atlas geograficzny, który waży 8 kilogramów. Atlas ten posiada 170 tablic kolorowanych i pracowano nad nim 10 lat.

Operetka reprezentacyjna

Od chwili, kiedy zamknięto podwoje dawnego „Teatru Nowości", Warszawa została pozbawiona kulturalnej rozrywki pod postacią operetki. Dawny zespół operetkowy rozproszył się, a późniejsze usiłowania, stworzenia przybytku lekkiej muzyki i dowcipnego libretta nie doprowadzały do zamierzonych rezultatów. Założenie operetki na ulicy Bielańskiej, w Wodewilu, na Śniadeckich i wreszcie na Marszałkowskiej przez Messalkę były surogatami tego, co powinno było powstać, a jednocześnie nieudolną próbą wskrzeszenia przeszłości.

Okres depresyjny w teatrach operetkowych nie był jedynie objawem rodzimym; podobny kryzys opanował całą Europę. Powodem jego było wtargnięcie jazzu amerykańskiego, który jak każda nowość amerykańska został bezkrytycznie przyjęty. Przeraźliwa, bezładna, a często pozbawiona zupełnie melodji muzyka rozpanoszyła się w salonach i lokalach publicznych. W związku z opanowaniem rynku muzyki lekkiej przez jazz zawitał nowy gość — egzotyczny taniec. Stary czy młody, chudy czy tłusty, człowiek z towarzystwa czy proletarjusz podrygiwał, wyczyniając przedziwne łamańce i ruchy ciałem wywołujące nierzadko rumieńce wstydu na mniej nerwowo odpornych osobnikach.

Ta niezdrowa, zmysłowa, a tak jednocześnie pociągająca atmosfera, przyczyniła się do tego, że operetka chroniąc się przed uduszeniem umknęła z teatru, stając się pocieszycielką nielicznych miłujących prawdziwą sztukę i muzykę. Jazz i murzyńskie tańce stworzyły teatrzyki rewjowe, chętnie i tłumnie uczęszczane przez amatorów nowości zagranicznych.

Zdawało się, że epoka melodyjnych walców, dowcipnych i subtelnych intryg miłosnych ustąpiła bezpowrotnie rozpasaniu charlestona i podkasanemu żartowi.

Jednakże zbytnie wyładowanie energji w jakimkolwiek kierunku jest początkiem nieuniknionej reakcji.

Energja miauczących saksofonów, gwiżdżących piszczałek, rechoczących harmonij i dudniących bębenków, stworzyła bezwiednie podatny grunt do powrotu opanowanej, płynnej i melodyjnej muzyki, dającej odpoczynek nerwom i kulturalne zadowolenie duszy.

Powrócił zwycięski walc. Z ciemnych głębi rekwizytorni teatralnych, omotany pajęczyną zaniedbania i kurzem zapomnienia, z początku nieśmiało i trwożnie, później z werwą i temperamentem wychynął na posadzkę salonów i wreszcie wkroczył świetny, błyszczący i zwycięski na deski teatru.

Pierwszy swe podwoje otworzył temu rados-



Elna Gistedt, Gustaw Chorjan, Stanisława Orska oraz girls'y w „tańcu róż". (fot. Brzozowski).



Ilcewicz — król Pankracy XXVII oraz Aleksy — właściciel baru tworzą prawdziwą parę groteskową. (fot. Brzozowski).



Efektowna scena z aktu I: Na dworze następcy tronu w Sylwarji, u góry Redo, w roli ministra skarbu. (fot. Brzozowski).



Papa miljarder — Bolesław Horski i córki miljarderów z „Young Lady Club". (fot. Brzozowski).

nemu gościowi Teatr „Operetka Reprezentacyjna". Dzięki ofiarności współzałożyciela „Morskiego Oka" p. Hermana Treimana, dzięki niespożytej energji dyr. p. Janusza Srebrzyckiego i dzięki kolosalnym kosztom materjalnym wskrzeszono scenę lekkiej muzyki, której tak było brak Warszawie.

I czy to dziwne zrządzenie losu, czy też prosty przypadek zdziałał, że inauguracyjnym programem tej świetnie zapowiadającej się sceny, jest operetka Emeryka Kalmana p. t. „Księżna Chicago". Widz, który z prawdziwą radością dąży w progi „Operetki Reprezentacyjnej" i od początku do końca roskoszuje się z zapartym oddechem dawno niesłyszanym melodjom, widzi przed swoimi oczami nieszczęśliwą historję upadłej operetki i zwycięski jej powrót.

Amerykanizacja muzyki, tańca, pojęć i kultury starej Europy, wdzięczącej się w dziwacznych szatach upstrzonych zamórskiemi świecidełkami, walczy ze zdrowym sentymentalnym i pełnym uroku patrjotyzmem dobrego smaku i dawnych rodzimych tańców.

Jest to pean na cześć walca, który pokonywa swemi spokojnemi i płynnemi melodjami murzyńskiego, dzikiego przeciwnika.

Rolę tytułową odtworzyła z prawdziwym amerykańskim temperamentem Elna Gistedt, która z właściwą sobie subtelnością przeobraża się z typowej królewny dolarów na kochającą kobietę. Ba.., nawet się europeizuje. Gustaw Chorjan dał świetną sylwetkę sentymentalnego i pełnego poczucia honoru i dumy rodowej następcy tronu. Józef Redo jako minister chronicznie pustego skarbu oraz Tadeusz Pilarski w roli ministra dworu to nieodstępni Kastor i Pollux. Ich nieustanne sprzeczki i figle sobie płatane wywołują na widowni istne burze śmiechu. Stanisława Orska, narzeczona księcia i Wacław Sowiński, kapitalny typ sekretarza miljonera to druga para, której perypetje miłosne są śledzone przez publiczność z żywem zaciekawieniem. Horski — to stuprocentowy amerykanin, oceniający ludzi i rzeczy pod kątem widzenia dolara. Ilcewicz karykaturalny, zdjociały monarcha oraz przesadnie usłużny Aleksy jako właściciel baru dopełniają wspaniale zgrany zespół. Partje głosowe doskonale opracowane. Reżyser Julicz, który zasłużenie zbiera triumfy swej pracy wprowadził na scenę tłumy prześlicznie dobranych girls'ów, ustawicznie przewijających się we wdzięcznie zgranych tańcach układu świetnego baletmistrza G. Neubera. Przygotowanie orkiestralne pod batutą Z. Górzyńskiego stworzyło z muzycznego libretta prawdziwy koncert dla smakoszy tonów. Olśniewające kostjumy, projektowane i wykonane w pracowni Geny Galewskiej, córki niezawodnego w swych pomysłach dekoracyjnych art. malarza Józefa Galewskiego, nadają żywego i barwnego tętna całej operetce. Pomysłowe efekty świetlne dopełniają całość. *Z. Grzybowski.*



Stanisława Orska i Wacław Sowiński tańczą charlestona. (fot. Brzozowski).





Scena z aktu II: W palacu Miss Mary Lloyd, u góry Pilarski jako minister dworu. (fot. Brzozowski)



Władysław Walter.



Zizi Halama.



Stanisław Sielański.



Nelly Herten.



Tadeusz Olsza.

Morskie Oko

(REWJA: „COŚ DLA KAŻDEGO").

W rewji tej Dyrekcja „Morskiego Oka" dała przegląd najlepszych numerów sezonu ubiegłego, sezonu rekordowego pod względem powodzenia. Sędziwe, bo przeszło 150, lub 200 razy grane przeboje, składają się na doskonałą całość. Dla braku miejsca nie możemy wyliczyć tu wszystkich numerów, (choć na to zasługują) wymienimy więc tylko naj - najlepszych kilka. A więc pełen humoru skecz „Gość w szafie" bardzo dobrze i z temperamentem grany przez Karlińską, Sielańskiego i Sempolińskiego „Tango Milonga", w którem Nowicka doszła do perfekcji, doskonale przez Herten śpiewane piosenki i znakomity Walter w „Flircie o północy" i t. d.



Baletmistrz Wojcieszko.



Stanisława Karlińska.

Niektóre numery nawet zyskały na wznowieniu, a mianowicie finał pierwszy — przez zastosowanie nowych efektów świetlnych, wydaje się jeszcze bardziej olśniewać przepychem niż za „czasów młodzieńczych", lepszą jest również „Ramona" w nowej obsadzie (Zizi Halama i Wojcieszko). Bardzo efektowny jest „Kulig na Starem Mieście" z piękną muzyką Hossona.

No i Halamy... właściwie rewję tę możnaby nazwać „Turniej Sióstr Halama". Zizi i Loda walczą o lepsze w tym programie.

Obie siostry prezentują najlepsze swe kreacje. Loda przy (wydatnej pomocy Wojcieszka i Olszy) — doskonałe Rugby. Zizi — rozgłośną w całej Polsce chlubnie znaną „Złotą Panterą". Długotrwałe oklaski, jakiemi publiczność darzy oba te numery, świadczą o nie rozstrzygniętej walce.

Repertuar trzeciej siostry — Alicji Halamy, jak był tak i pozostał szary, bezbarwny i nieciekawy. Pani Alicja przez trzy lata pracy na scenach warszawskich niczem się nie wyróżniła i obecność swoją na scenie zdaje się zawdzięczać tylko temu, że jest siostrą Zizi i Lody...

Suum cuique.



Stanisława Nowicka.

Qui pro Quo

Jedenasty rok swej pracy artystycznej rozpoczęło Qui-pro-quo rewją, na pierwszy rzut oka bardzo podobną do poprzednich. Przy bliższem jednak rozejrzeniu się daje się zauważyć głęboka różnica, która w następnych rewjach może uwydatni się mocniej. Qui-pro-quo zatraca stopniowo swój charakter satyryczny, przechodzi na repertuar lżejszy, operuje w sferze żartu i niefrasobliwej aktualności.

Jedyny wyłom stanowi „Pieśń szubienic" K. Wierzyńskiego z muzyką L. Marczewskiego, obraz makabryczny, doskonale przez reżyserję zharmonizowany, starannie wykonany przez zespół Tacjan-girls. Pozatem, jak się rzekło, rzeczy wesołe, czasem bardzo zajmujące.

W zakresie aktualności muzycznych trudno dopatrzeć się melodji, któraby przedostała się poza mury teatru. Miła i oddawna znana piosenka żołnierska „Sweet Marie" została bardzo dobrze wykonana przez zespół Dona.



Tacjani — girls'y w obrazie „Pieśń Szubienic". (fot. Brzozowski).

Natomiast układ i wykonanie drugiej niemniej popularnej piosenki „Chiquita" pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Powrót na łono Qui-pro-quo Zuli Pogorzelskiej był nacechowany wielką serdecznością zarówno ze strony publiczności, jak i samego teatru. Konwencjonalne piosenki nie dały jej zbyt wdzięcznego pola do popisu. Natomiast w skeczu „Bajka" błysnęła artystka swoim nieprzeciętnym temperamentem scenicznym i wrodzonym wdziękiem.

Skecz „In flagranti", wykonany przez Nobisównę, Toma i Minowicza rozśmieszył widzów do łez, co zapisać należy na korzyść świetnej gry Toma.

Dobrą sylwetkę zboczeńca dał Dymsza, wszakże tekst piosenki jest wręcz niecenzuralny.

Dekoracje Galewskiego, jak zwykle estetyczne. Zanotować należy przy sposobności debjut dekoratorski młodziutkiej Geni Galewskiej, która w projektach kostjumów wykazała nie mały talent.

DAWID FRYDMAN. (3)

Mendel Maranc

Przełożył z ros. Mieczysław Birnbaum.

Zelda zasmuciła się nie na żarty.

— Więc to jest ta przyszłość, o której marzyłeś! — kpiła sobie z niego. — Praczką być i kucharką! Tfy! Wstydziłbyś się, stary! Pomyśl tylko, co sąsiedzi mówią! Nie mogą nawet zrozumieć, kto z nas jest mężem, a kto żoną!

Mendel kręcił sobie spokojnie papierosa.

W gniewie jej słyszał wyraźnie skargę. I to mu się podobało.

— Przecież sama zmusiłaś mnie do siedzenia w domu i do pracy. Więc pracuję! Czem jest praca? Przyjemnością! Gdybyś wiedziała, jak...

Wyjął zapałkę i zapalił papierosa. Zelda usunęła się ciężko na krzesło.

„Praca — to przyjemność" — brzmiało jej w uszach. „Może mu się podoba pozostawanie samemu w domu. Albo możliwe, że... Możliwe? Przyjemność! Co znaczy przyjemność? — pomyślała sobie. Omal nie krzyknęła na samą myśl, jaka jej w głowie powstała.

— A, więc o to idzie! Coś już podejrzewała, ale *podobna rzecz* nigdy w życiu nie przyszłaby jej na myśl. Przecież te szczotki do podłogi, które onegdaj znalazła pod łóżkiem i ta ścierka w wiadrze — to wszystko cudze. Skąd on mógł to wziąć? Zdaje się, że gdzieś je nawet widziała. Ach, tak — u żony stróża!

— Nic dziwnego, że tak mu się podoba przesiadywanie w domu, — pomyślała. A ja zupełnie o tem zapomniałam. Nie darmo przywiązał się tak odrazu do pracy.

Jakkolwiek podejrzenia jej oparte były wyłącznie na przypuszczeniach, coś jednak zaczęła sobie powoli przypominać. Pewnego razu po powrocie z pracy, zastała Mendla siedzącego na oknie z papierosem w ustach. Siedział z założonemi pod fartuchem nogami i rozmarzonym wzrokiem spoglądał przez okno.

Zdumiona Zelda obejrzała się dookoła. W mieszkaniu panował wzorowy porządek: w kuchni — czysto, bielizna — wysuszona i wyprasowana, wyszorowana czysto podłoga — aż lśni. Najbardziej wzorowa gospodyni nie mogłaby lepiej wszystkiego zrobić.

Zelda aż wytrzeszczyła oczy. Tak wcześnie i już wszystko jest zrobione! I to jeszcze jak!

— Saro, chciałabym wiedzieć, kto to wszystko zrobił, — odezwała się wreszcie, zwracając się do córki.

— A myślisz, że kto? — naiwnie zapytała Sara.

— Czy nie zauważyłaś jeszcze, jak ona się na mnie zawsze patrzy? — zawołała Zelda. Śmieje mi się zawsze wprost w oczy. Nie darmo opowiada sąsiadom: „co to za idjotka ,ona pracuje, a mąż się bawi". Nie darmo!

— O czem właściwie mówisz, mamo? — zapytała zdziwiona Sara.

— O niczem! Twój kochany tatuś doskonale wie. To ona wszystko robi. Rywka — żona stróża. Znam tego ptaszka, nieraz widziałam jak strzela oczkami do Mendla. Starsza jest odemnie o cztery lata, ale maluje się jak szyld, ma napuszono włosy i już myśli, że mężczyźni szaleją za nią. Zapytaj ojca. Dobrze o tem wie!

Mendel siedział os.upiały. Ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

— Dosyć tego udawania! — zawołała Zelda. Znamy was dobrze gagatki!... Ja pracuję jak koń, a ta parszywa...

— Zapamiętaj sobie, panie Maranc, jeszcze pożałujesz! — wykrzyknęła przez łzy, wymachując pięścią Mendlowi przed samym nosem, i wyszła z pokoju.

Mendlowi było jej żal. Zdziwioną twarz zwrócił ku Sarze.

— Jak w domu wszystko było poprzewracane do góry nogami, krzyczała, że zwarjuję. Jak w domu jest porządek, to ze mnie robi warjata. Bo co to jest żona? Epidemja. Jeżeli nie tu wybuchnie, to wybuchnie gdzieindziej.

Nazajutrz Zelda nie mogła już spokojnie pracować . Miała ochotę porzucić pracę, iść do domu i złapać ich razem — Mendla i Rywkę — wydrapać tej starej megerza oczy, powyrywać jej włosy. Ale postanowiła wytrwać. Przecież Mendel napewno spodziewa się napaści i powie Rywce, żeby narazie nie przychodziła. Zdecydowała działać przebiegłością. Uda, że o wszystkiem zapomniała i przebaczyła.

Spotkała wieczorem w sieni trzeciego piętra Rywkę, schodzącą z czwartego piętra. Na czwartem piętrze były tylko dwa mieszkania. W jednem mieszkała missis Cwak, — wdowa, która nienawidziła Rywkę i nie wpuszczała jej nigdy do swego mieszkania, w drugiem — Mendel Maranc z rodziną. Skąd więc Rywka wychodziła?

W mieszkaniu swojem Rywka zastała równie wzorowy porządek i czystość. Prawdę mówiąc, nawet ona nie potrafiłaby tak czysto posprzątać. W mieszkaniu wszystko błyszczało jak lustro. Jasne było, że wszystko zrobiła ta wiedźma, którą spotkała na schodach.

Zelda nie mogła przez całą noc zasnąć. A przy pracy pękała jej z bólu głowa, oczy przesłaniały jej jakby mgła, tak że zupełnie nie mogła szyć. Różne myśli przychodziły jej do głowy. Gdyby szło tylko o Mendla, to bez chwili wahania porzuciłaby go. Ale dzieci! Córka na wydaniu i kupa małych dzieci. Co ludzie powiedzą?

A Mendel? Za nic na świecie, nigdy w życiu mu tego nie wybaczy. Więc dlatego panuje u niego taki wzorowy porządek! Dlatego mówi, że praca jest dla niego przyjemnością! Sądząc z pracy, jaką wykonywała dla niego Rywka, miłość ich rozwijała się z groźną szybkością.

Wyobraźnia podsuwała jej najróżniejsze sceny zdrady małżeńskiej: oto Mendel uwija się dokoła tej pięćdziesięcioletniej megery, Rywki, która mu zmywa naczynia i pierze bieliznę. Poruszając mieszadłem bieliznę w kotle, z pewnością potrąca go lubieżnie łokciami i mówi:

— Mendlu, mój kochany, co ty jesteś taki obojętny na moją urodę?

A Mendel, przyciskając się do niej, odpowiada:

— Czem jest uroda? Winem. Im starsze, tem lepsze.

Potem z pewnością opiera się głową o jej pierś i pieszczotliwie odzywa się:

— Ty mój tłuścioszku, ty! Jak to przyjemnie ciebie obejmować. Czem jest mężczyzna? Dynamitem. Czem kobieta? Palącą się zapałką? Co to namiętność? Wybuch...

Po tem Rywka tuli się głową do jego piersi, patrzy na niego szatańskiemi oczami i szepce:

— Kochaj mnie! Kochaj mnie, Mendlu. Jestem cała twoja!

A Mendel, wpierając się mocno w podłogę, by wytrzymać ciężar jej ciała, obejmuje ją, szepcąc w porywie namiętności:

— Co to jest miłość? Miotła. Zmiata nas z powierzchni ziemi.

Nie mogąc się dłużej już powstrzymywać, Zelda poszła o jedenastej do domu. Przybiegła strasznie zadyszana. Wchodząc na schody, kilka razy się potknęła. Wreszcie podeszła do drzwi i zaczęła nadsłuchiwać.

Co to? Jakgdyby rozmowa? Nie, to tylko jej wyobraźnia. Ależ tak, rozmowa. Najpierw męski głos, potem — kobiecy, a potem — śmiech. Dłużej już tutaj nie wytrzyma. Pchnąwszy mocno drzwi, wpadła do pokoju i osłupiała.

Przed nią stoi Rywka. Śmieje się jej wprost w twarz. Obok stoi Mendel. Ale tuż stoi również stróż — mąż Rywki. I jeszcze dwuch osobników! W cylindrach, żakietach i lakierkach. Napewno agenci śledczy, których sprowadził stróż, żeby przyłapać żonę na goracym uczynku i przyłapać Mendla. A oto jeszcze Morton, siostrzeniec Mendla — adwokat.

— Uj! I adwokat... No, to już wszystko przepadło! — jęknęła.

Zelda o mało nie zemdlała, ale podszedł do niej Mendel, wziął ją za rękę i powiedział:

— To moja żona. Ona wszystkiemu jest winna. Zmusiła mnie do zrobienia tego.

— Pan pojedzie razem z nami, — odezwał się jeden z przybyszów, zwracając się do Mendla.

— Powiedźcie mi, ludzie, powiedźcie, co tu się dzieje?! — zawołała wrzeszcie Zelda.

— Muszę jechać z tymi panami, — powiedział Mendel. Ale możesz zapytać Rywkę, — dodał znacząco. — Ona wie o wszystkiem.

Zanim zdążyła się opamiętać, Mendel wyszedł razem z siostrzeńcem i dwoma przybyszami. Z pałającemi oczyma zwróciła się do tej ladacznicy — Rywki.

— Życzyłabym sobie, żeby i mojego męża zabrali tam, gdzie twojego zabrali, — zaczęła Rywka.

— Ty sama nie wiesz, co za męża masz. O nim będą teraz w gazetach pisać. Coś tutaj robił a ci panowie wytrzeszczyli tylko oczy i skakali jak zwarjowani.

— A co on takiego zrobił? — zapytała Zelda, zamieniając się cała w słuch. — Tyś tu napewno wmieszana.

— Ja? A on mówi, że ty? Ja tylko przyprowadziłam tu tych ludzi. Zapukali do naszych drzwi i zapytali: „czy tu mieszka Mendel Maranc? Proszę nas zaprowadzić do jego mieszkania". No, i przyprowadziłam ich.

— A pocoś ty ich przyprowadziła? Poco? Czy nie widzisz, że to szpicle? — krzyknęła na nią Zelda.

— Skąd ja mam wiedzieć, kto to jest? Jak weszli do pokoju, mąż twój zbladł, jak płótno.



Triumf Maranca, genjalnego wynalazcy.

„To pan to zrobił?" — zapytali. A on aż zadrżał na całem ciele i odpowiedział: „Tak".

Zelda załamała ręce.

— Po co on powiedział: „Tak". Po co?

— Dlatego, że to prawda.

— Co — prawda?

— Że on to zrobił.

— A co on zrobił, co? Ja tu zwarjuję. Dlaczego mi nie mówisz?

— Już wszystko ci powiedziałam.

— Kiedyś mi powiedziała? Kiedy? Gadasz i gadasz i wygadać się nie możesz. Co tu się stało? Co oni tu chcieli? Dlaczego był tu twój mąż? A ty dlaczego tu jesteś? Dlaczego wszyscy tu byli? Co tu się wogóle dzieje?

— O, mój Boże! Co ci jest? — niecierpliwie wołała Rywka. — Chodź tu, otwórz oczy, to może sama wszystko zobaczysz.

I zaciągnęła Zeldę do kuchni.

— Widzisz to? — zapytała, wskazując na jakąś masę, zakrytą płótniskiem pośrodku kuchni.

— Co widzę? — z niecierpliwością odpowiedziała. Widzę gałgany, nic więcej.

— No tak, a pod gałganami? — z uporem ciągnęła Rywka. Podniosła płótno. Zelda osłupiała z gniewu. Oczy jej się rozszerzyły, twarz pokryła się ponsem. Opanowało ją straszne oburzenie.

— Co ty mi oczy mydlisz! — krzyknęła, zbliżając się do Rywki. — Co ty mi pokazujesz?! Co? Blaszankę od popiołu na kółkach! A co mój mąż ma z tem wspólnego? Myślisz, że ja nie wiem? Pokazujesz mi to, żebym zapomniała o *tamtem!*

Rywce aż pot ze zdenerwowania wystąpił na czole. Wytarła się fartuchem.

— Ty nie rozumiesz, o czem ja mówię, ja nie rozumiem, o czem ty mówisz. Tu się wszystko poplątało. Gdzie ty widzisz blaszankę od popiołu? To wcale nie blaszanka. Może to i podobne do blaszanki, ale to nie jest blaszanka. Życzyłabym takich blaszanek wszystkim krewnym swoim. To jest największy cud na świecie!

Zelda ledwie trzymała się już na nogach. Dostała aż zawrotu głowy.

— Więc, co to jest, co, pytam się ciebie? — zapytała, ciężko sapiąc.

— Tu — wszystko jest! — uroczyście odpowiedziała Rywka. Wszyscyśmy to oglądali — mąż mój, Szmerel, ja sama i inni ludzie. A twój mąż pokazywał. Nakręca tę blaszankę, jak gramofon i ona zaczyna grać. Talerze wchodzą do środka, brudne, a wychodzą czyste, jak po łaźni. Widzisz to? Na tych rzemyczkach trzymają się talerze. Wchodzą z tyłu, a wychodzą z przodu. Potem zdejmuje pudełko z nóżek, stawia je na podłodze, wyjmuje rzemyki, wstawia tę deskę ze szczotkami i gąbkami, przekręca rączkę, a pudło zaczyna jeździć po podłodze, jak automobil i tak szoruje i zmywa podłogę, że cała się błyszczy. Myśmy się przyglądali i nie wierzyliśmy własnym oczom.

Potem mąż twój odwraca pudło, znowu stawia na nóżkach, wyjmuje deskę ze szczotkami, wkłada jakąś maszynkę z rurkami, kółkami i ze wszystkiem innem, nakręca maszynkę, nalewa wodę i wrzuca brudną bieliznę. Coś tam zaczyna syczeć, trzeszczeć, bulgotać, a naraz — wychodzi stamtąd bielizna czyściuteńka, lśniąca, jak parówki, tak że pozostaje tylko rozwiesić ją. Taka to jest blaszanka! Nie będziesz musiała więcej pracować! ona sama pracuje. Och, jabym też chciała mieć taką blaszankę!

Zdumiona Zelda spoglądała bez słowa na potwór stojący przed nią. Poznała kółka od starego wózka dziecinnego, nóżki — od krzesełka kuchennego, rączkę — od pieca. Więc oto kto był jej rywalką, oto kto zagrabił jej prawa!

— To pudło w pięć minut robi więcej, jak ja przez cały dzień, — mówiła dalej Rywka. Oni jakoś dziwacznie je nazywają: kom-bi-no-wany przyrząd dla mieszkań. Czyści i myje wszystko. Ludzie, którzy tutaj byli, powiedzieli, że narobią miljony takich pudeł. Pani będzie teraz bogata, madame Maranc!

Ktoby to mógł pomyśleć, że pani się wzbogaci na sprzątaniu cudzych mieszkań. Ja już sprzątam cudze mieszkania jakieś dwadzieścia lat i nigdy mi coś podobnego do głowy nie przychodziło. Pani ma szczęście!...

Zelda była ogromnie zawstydzona. Wieczorem nie mogła Mendlowi w oczy spojrzeć.

— A ja ciągle myślałam, że to Rywka, — powiedziała uległym tonem. — Uj, Mendlu, ty będziesz mnie uważać teraz za ostatnią idjotkę.

— To nic Zeldo, to nic. Gdyby nie ty, toby tego nie było. Tyś mnie zmusiła do wynalezienia tego...

— O, nie, Mendlu — odpowiedziała pieszczotliwie, — to wszystko twoje lenistwo. Tyś dlatego tylko wynalazł maszynę, że nie chciało ci się pracować.

— Czem jest żona? Promieniami Rentgena. Widzi cię całego nawylot... — wyrzekł sentencjonalnie Mendel, rojąc już nowe sny o wynalazkach.

KONIEC.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

Kalendarzyk tygodniowy.
13 N. Edwarda
14 P. Kaliksta
15 W. Teresy
16 Ś. Martyniana
17 C. Wiktora
18 P. Łukasza
19 S. Piotra z Alkantary.

TEATR

Wielki: dn. 10 b. m. „Halka", dn. 11 b. m. „Straszny dwór", dn. 12 b. m. Premjera: „Ostatni Pierot, Kleks Serduszko", dn. 13 b. m. „Faust" z „Nocą Walpurgij".

Narodowy: dn. 10 b. m. „Wiosna Narodów", od dn. 11 b. m. codziennie: „Konfederaci Barscy".

Letni: dn. 10 i 11 b. m. „Proces Mary Dugan", od dn. 12 b. m. codziennie: „Wywczasy Don Juana".

Polski: codziennie „Artyści".

Mały: codziennie: „Koniec Pani Cheyney".

Elizeum: codziennie: „Mirla Efros".

Morskie Oko: Rewja p. t. „Coś dla każdego".

Qui-Pro-Quo: Rewja p. t. „Kochajmy się".

Operetka reprezentacyjna: codziennie: „Księżna Chicago".

KINO

Apollo i Casino: „Mocny Człowiek".

Wodewil: „Bezbożne dziewcze".

Filharmonja i Pan: „Pod banderą miłości"

Stylowy: „Dzika miłość" z Dolores del Rio.

Quo Vadis: „Targowisko zmysłów".

Światowid: „Życie zaczyna się jutro".

Palace: „Asfalt".

UKŁADY I RYSUNKI WYKONAŁ Ł. CHEJFEC.

Pokusa

Pyszne wafle, różki z kremem, czekolada, bomby z swym słodkim miąższem, cukry, chałwa — Boże! co za cudowne rzeczy!

Ale gruba szyba oddziela upragnione delicje od głodnych oczu malca.

Pokusa! — Ach, żeby tę szybę wybić i dorwać się do tego sezamu! Objadłby się ciast, usmarował cukrem, jadłby, jadł za wszystkie czasy!

Szybko przewija się taśma lat i oto głodne oczy apasza, niby djament rżną szybę, za którą lśnią wspaniałe, drogocenne kolje, migocą brylanty, płaczą perły i rubin krwawe błyski rozlewa. Któregoś dnia huk mauzera zagłuszy na chwilę rożki samochodów i po chwili tłum gapiów zbierze się przed witryną jubilera, by z przerażeniem i ukrytą przekorną radością przyglądać się wybitej szybie i pustym półkom wystawy.

Inna pokusa.

Jeszcze trzy przykłady algebraiczne i temat z historji, a tu przez okno wpływają zapachy akacji z pobliskiego parku i widać jak bez swoją lila głową w wietrze potrząsa. Jakżeż tu na plus b do kwadratu podnosić, kiedy wiosna woła?

Pokusa!...

Zrana do szkoły na klasówkę nie iść, do parku, Łazienek, na boisko!

— Wagary!

I znowu przewinie się taśma lat i inna pokusa zmysły chłopca opęta. Wabią oczy zalotne i usta i smukła nóżka w lśniącej pończoszce.

Przyjdą noce studenckie, noce szalone, kobieta — wino — śpiew!..



Rzecz taka prosta, jak piękna nóżka zaprowadzić może do piekieł nawet filozofa. (fot. Universal).

Stukają remingtony w biurze. Szare zmęczenie pod oczyma stenotypistki się kładzie. Co dzień, co dzień — praca, a tu młodość ucieka, a tu życie wabi... Śmigają samochody, lśnią szyby wystaw, barwne stroje kuszą dziewczynę...

Pokusa...

Czy podda się pokusie dziewczyna?

Czy uwiodą ją szelestem magicznym banknoty?

Pokusa!...

Całe życie — od kołyski do grobu, od lat najwcześniejszych — pokusy! Pokusy niewinne i pokusy grzeszne; pokusy słoneczne i kuszenia zbrodni. Nikogo nie oszczędzi pokusa. Palący wiatr owiewa zarówno anachoretę na pustyni, jak i chłopczyka przed automatem Sucharda.

I jak tu dać sobie radę w tym świecie?

Mistrz życia, Król paradoksu, boski Wilde doradzał: Najlepszym sposobem zwalczenia pokusy jest poddać się jej...

Czyż tak?...

Bobby.



Stos szeleszczących dolarów... Pokusa nielada — swoje, czy cudze — byle więcej... wydać. (fot. Paramount).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris. XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.